PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Ku czci Wielkiego Męża.

Szczęśliwa Francja, że ma swojego Focha...

Wybitni strategicy i wodzowie tej miary rzadko pojawiają się w dziejach ludzkości, ale jeszcze rzadziej zdarza się, aby genjusz militarny był połączony z taką wielkością charakteru, szlachetnością uczuć, olbrzymią i wprost niezgłębioną bez interesownością i ofiarnością w wiernej służbie dla ojczyzny.

Z pośród wszystkich wybitnych ludzi wojny światowej Foch jaśnieje bezsprzecznie największym i najczystszym blaskiem. Genjusz narodu francuskiego zamieszkał w tym wspaniałym umyśle i wielkim sercu. To też przed trumną wielkiego męża pochyliły się w kornym hołdzie najdumniejsze czoła i sztandary. Naczelnicy potężnych państw, przedstawiciele wyzwolonych narodów pospieszyli, aby złożyć hołd temu, którego zwycięska szpada ocaliła Europę przed jarzmem teutońskim, który jest słusznie uważany za drogocenny klejnot całej ludzkości.

Non omnis moriar...

Ferdynand Foch umarł tylko fizycznie, a żyje nadal duchem... Wierny syn Kościoła, prawdziwy wzór rycerza chrześcijańskiego, godny następca Godfryda de Bouillon i Świętego Ludwika przeniesiony został tylko rozkazem Najwyższe-

go Wodza Niebieskiego w szeregi Kościoła Tryumfującego, gdzie otrzyma przydział sobie odpowiedni. „Jak żył tak i umierał". „Uważam, iż wołają mnie przed tron Najwyższego Sędziego"—mówił przed śmiercią do spowiednika. A gdy ksiądz zaczął mu przedstawiać drogę wieczną, na którą wyszli polegli żołnierze, aby spotkać uwielbianego wodza, on wskazał krzyż i wyrzekł ostatnie słowo: „ciel—niebo". *)

Oto jego nagroda niebieska, ziemską otrzyma również, nietylko od obecnego, ale i od przyszłych pokoleń, wśród których pamięć Bohatera żyć będzie wiecznie, zapładniając szlachetne umysły do wielkich czynów.

Droga do sławy i zwycięstwa długa była i ciernista. Jedno uderzy każdego w karjerze Marszałka Francji, Polski i Anglji. Niczego nie zdobył protekcją, czy poparciem grup politycznych, czy szczęśliwym zbiegiem okoliczności—wszystko wypracował własną wolą i wysiłkiem. Tak jak Czarniecki mógłby powiedzieć: „ani z soli, ani z roli, tylko z tego, co mnie boli, wyrosłem". Kampanję 1914 r. rozpoczął jako jeden z wielu wybitnych generałów francuskich, a skończył w 1918, jako wódz 10 miljonów żelaznych zastępów „poilu" zwycięski bohater wielkiej wojny.

Poznał blaski i nędze demokracji. Pan życia i śmierci 10 miljonów uzbrojonych ludzi, stwierdził po zawarciu rozejmu, że zadanie swoje uważa za skończone i usunął się w cień bez żadnych protestów, aczkolwiek miał powody do niezadowolenia, gdyż traktat pokojowy w wielu punktach nie odpowiadał jego planom i poglądom.

Wielokrotnie jeszcze potem mógł sięgnąć po władzę, lecz bardziej podobała mu się rola Cyncynata, aniżeli Caesara „W cieniu jego zwycięskiej szpady mogła spokojnie Republika Francuska korzystać z owoców zwycięstwa, nie groził jej żaden przewrót, żaden rokosz, żaden zamach na jej suwerenność i na jej Konstytucję. Był to jeden z niewielu w dziejach wielkich wodzów, którego ambicją było służyć bezinteresownie Ojczyźnie i wspierać swą radą rząd ustanowiony prawami". **)

---

*) Z kazania ks. Marcelego Nowakowskiego, wygłoszonego w katedrze warszawskiej.

**) Patrz № 79 „Głosu Narodu", artykuł wstępny.

Żadna zawiść, ani zemsta osobista nie splamiła wielkiego charakteru Focha. Wszystko co przedsiębrał czynione było dla dobra Ojczyzny, a nie gwoli zaspokojenia ambicji osobistej. Ani cienia megalomanji, pychy egocentryzmu, lub mściwości, nienawiści, chęci pomniejszenia sławy, czy zasług innych.

Wódz ten nie ma w sobie niczego z Caliguli — natomiast wiele i to najlepszych właściwości Żółkiewskiego, Waszyngtona, Kościuszki...

Ferdynand Foch jest nietylko wielkim wodzem i obywatelem, ale wielkim człowiekiem w każdym czynie i geście, żarliwym, praktykującym i konsekwentnym katolikiem — zarówno wówczas, gdy w okresie największego prześladowania katolicyzmu we Francji, z całą odwagą głosił swe przekonania, narażając na szwank swoją karjerę, jak i potem, gdy, jako wódz armji i obywatel Republiki w całym swoim postępowaniu, czy w wojnie, czy w pokoju—wcielał konsekwentnie w życie zasady sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej i nie sprzeniewierzył się im nigdy.

Szczęśliwaś, Francjo, że możesz opłakiwać takiego Syna...

Zazdrościmy Ci szczerze, a jednocześnie odczuwamy wielką dumę, że pod rozkazami tego Męża walczyli także synowie naszej Ojczyzny, że był On także marszałkiem Polski, że imię Jego kojarzyć się będzie zawsze ze wskrzeszeniem Rzeczypospolitej i z wojną w r. 1920 o kulturę i chrześcijaństwo w Europie środkowej, podczas której okazywał nam żywą pomoc i współdziałanie.

Niestety, dzisiejsza Polska oficjalna nie była w dostatecznej mierze wyrazicielką hołdu i uczuć, które ożywiały Naród Polski podczas pogrzebu Wielkiego Francuza. Wszak często się dzieje, że sfery oficjalne nie odczuwają tętna żywej krwi, bijącej w sercu Narodu...

Nic to! Społeczeństwo polskie zdobędzie się jeszcze na to, aby samo, z własnej inicjatywy i własnym wysiłkiem uczcić wartości, które nie powinny zginąć dla naszego Narodu, lecz świecić przykładem młodemu pokoleniu, budzić w nim siłę moralną i te ideały, których marszałek Foch pozostanie zawsze wielkim przedstawicielem.

W godzinach ciszy.

I) „Mnie uczą drzewa“...

„Widziałem Boga, przechodzącego
w oddali, i stanąłem w zadumie”.
(Lineusz).

Gdyby nie ta bezmyślność dni naszych, ileż zdrowych spostrzeżeń, potrzebnych doświadczeń, wielkich myśli i czynów mogłoby się zrodzić w każdym z nas! A tak giną najpiękniejsze z pięknych...

Rzućmy choć na jedną chwilkę skorupę ziemskich interesów, pozbądźmy się tego bielma z oczu, co zasłania nam wspaniałe widnokręgi nadprzyrodzoności. Spójrzmy naokoło siebie, spójrzmy naprawdę a z życiem, a z wiarą! Spójrzmy ku Bogu!..

Bóg z nami.—W każdym szczególe świata stworzonego dostrzeżemy Opatrzność Jego. Wszędzie ślady Jego Mądrości i Opieki.

Wejdź, bracie, na chwilę w siebie, wejdź a powiedz: Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tem, że każde, nawet to najmniejsze, stworzenie jest urzeczywistnieniem słowa Bożego? Nawet to szare ptaszę, co mile świergocząc, zda ci się być tak małem, jest przecież tworem tego samego Mistrza i Pana.

Jeden z katolickich myślicieli współczesnych, głęboko, a pięknie rozważając, to powiada: Nie wyobrażaj sobie stworzenia świata zbyt mechanicznie, jakoby za wymówieniem Boskiego słowa wszechświat zaroił się nagle różnorodnym zwierzem i wszelaką rośliną, których poszczególnych form barw, sposobu i celu życia Bóg przedtem nie obmyślił wcale. Nie, przeciwnie: Każdy dzióbek i nóżka, każde skrzydełko i trawka, każdy liść i kwiatek Bóg dobrze obmyślił i do przyszłych warunków zastosował.

I przywodzi tenże uczony taki wymowny obrazek przed oczy. Mogłoby każde zwierzątko, nawet to najlichsze, stanąć przed każdym z nas i słusznie powiedzieć, iż Miłościwy Stwórca je równie dokładnie i starannie stworzył i się niem zajmuje, jak człowiekiem. I wszystkie te kwiatki, które ty dumną a nierozważną depczesz nogą, mogłyby w szlachetnem oburzeniu unieść swe zgniecione główki i wyniośle spojrzeć ci w oczy ja-

ko równemu sobie; i ta nawet kropelka wody, co padając z nieba, nieproszona przylgnęła ci do ręki, nie ma potrzeby prosić o przebaczenie, bo pochodzi przecież z tego samego warsztatu, z którego i ty wywodzisz swój początek, marny pyle ziemski... A cóż dopiero mówić o ogromnych, gwiazdach i olbrzymich światach niebieskich? Cóż powiodzieć o jasnym księżycu i życiodajnem, wspaniałem słońcu, które już doprawdy nie miałyby powodu zwracać uwagi na ciebie, robaczku, co ledwie wychyla się ponad pył i brud uliczny—gdyby nie wyraźny rozkaz Boży, iż mają ci dobrowolnie służyć?...

Może teraz zrozumiemy św, Franciszka z Asyżu, który całą przyrodę tak przedziwną otaczał miłością? Nawet śmierć sroga i ogień rany wypalający były mu bratem! Zda się nam, że potężna postać wielkiego Świętego wróciła codopiero z raju, by przypomnieć miłość pierwszego człowieka.

A czasy nasze? Jakaś wyrachowana trzeźwość odsunęła nas daleko od tego pełnego poezji światopoglądu iście chrześcijańskiego. Gdy pytano raz św. Bernarda, skąd czerpie swą mądrość i wiedzę, odpowiedział z dziwną pokorą: „Mnie uczą drzewa“. Czy my to potrafimy zrozumieć?...

II) Nasza pobożność i modlitwa.

Zatraciliśmy dziś przedewszystkiem swój żywy, wewnętrzny kontakt z Bogiem. Brak nam tej prawdziwej pobożności, co stanowi istotę chrześcijańskiego życia i tej gorącej a pokornej modlitwy, co, przebijając obłoki, niebiosa ściąga ku ziemi.

Wykoszlawiło się wśród nas już samo pojęcie pobożności. Dziś ostatecznie rozumiemy przez nią pewne skrupulatne wykonanie praktyk religijnych, a nie to, żeby każdą myśl naszą i czyn, każdy smutek, czy radość przenikało uczucie bliskości Boga. Usunęliśmy pobożność z życia codziennego, milcząco to poszło i bez protestu. A na miejsce tej prawdziwej, a szczerej pobożności: wprowadziliśmy jakąś sztuczną namiastkę, która w oczach naszych urosła na rzekomo miarodajny drogowskaz życiowy i na... barometr cnót...

I mierzymy tedy wszystko wskaźnikiem tego barometru. Załatwiamy składnie, a dobrze wszelkie interesy doczesne, używamy, gdzie się da, wszelakiej przyjemności, dbamy, by serce

nie przeciążać ciężarem trosk i kłopotow—a wtedy dopiero, gdy już wszystko rzeczywiście uporządkowane, doskonale obmyślone, efektownie wykonane, wtedy—o ile jeszcze w dobrym pozostajemy nastroju—zaszczycamy Boga s vem dorywczem zwróceniem Doń swej duszy... I w dumnem zadowoleniu nazywamy to naszą pobożnością.

Zda się nam, iż uczyniliśmy aż nadto wiele, oddając się rano czy wieczorem pewnemu skupieniu.

Jakże jednak taki powierzchowny stosunek może odpowiadać naszej wierze chrześcijańskiej? Jakże takie obcesowe traktowanie pogodzić z nauką katolicką?..

Nie może przecież być wszystko w porządku, jeśli naszemu Stwórcy i Panu oddajemy ledwo chwil parę. Nie może to być kontakt stały a ścisły, jeżeli z celem i tęsknotą wszystkich stworzeń uważany za niegodne fatygi dłużej obcować.

Zapewne miał słuszność ten głos skargi, płynący z ust kaznodziei, iż większość chrześcijan nie wierzy dziś już w tę, że tak powiem, rentowność pobożności, wzgl. iż kroczą drogami, dalekiemi od ewangelicznego ideału.

Coraz głębiej zakorzenia się to przewrotnie błędne przekonanie, że w dzisiejszych czasach mamy bezwzględnie ważniejsze sprawy do załatwienia, niż praktykowanie pobożności; że mamy co innego do roboty, niż tak drogocenny czas przepędzać na... klepaniu pacierza.

Krok za krokiem oddalamy się od Boga. Najpierw pobożność usunięto z życia codziennego; potem wkrótce spostrzeżono, że to jeszcze za mało. Zamiast chwil kilka oddać Bogu, czyż nie lepiej okroić i te kilka minut i spędzić na czemś zyskowniejszem, i intratniejszem?...

Taki sąd o naszej pobożności może wyda ci się zbyt surowym?.. Ale spojrzyjno, bracie, na tych wszystkich ludzi, którzy cię otaczają. Jak oni się modlą? Zastanów się jednak przedewszystkiem nad sobą samym? Jak długo w ciągu całych 24 godzin jesteś myślą u Boga? Czy podczas dnia choć przelotnie myślisz o tem, że powodzenie twych zamiarów i starań zależy w pierwszym rzędzie od błogosławieństwa z nieba? A choćbyś miał myśli najmądrzejsze, plany najświetniejsze — choćbyś całą pilnością dokładał rąk do pracy — wszystko może zawieść, boć to takie ludzkie...

Ta myśl o wszechobecności Bożej winna nas tak głęboko przejmować, żebyśmy często wśród pracy czy spoczynku wyrywali się myślą ku Stwórcy i razem z Jakóbem wołali: „Zaprawdę, Pan jest na tem miejscu, a nie wiedzieliśmy tego".

Jakże czystem byłoby wówczas twe serce, jakże wzniosłe myśli towarzyszyłyby twym zajęciom codziennym! I nie zapomniałbyś nigdy o tem, że Bóg przebywa w twym pokoju, warsztacie czy fabryce, w biurze czy na polu; że On jest nietylko przy tobie i w tobie, ale równocześnie otacza wszystkich i wszystko.

I zrozumiałbyś wtedy wielkość Jego w kwiatach polnych, w cieniach drzew, w dalekich drogach gwiazd na niebie; zrozumiałbyś, że z pod oka Jego się nie usuniesz, choćbyś wzniósł się na najwyższe szczyty gór czy zstąpił w głębokie przepaście ziemi.

Taka oto pobożność znaczyć może więcej, niż mówienie pacierza. Nie jest ci już ona żadną zewnętrzną ceremonją czy praktyką, którą się wykonywa po tysiącznych sprawach innych— o ile czasu starczy; ale jest to owo żywe poczucie wiary i to stałe nastawienie duszy, które towarzyszy każdemu uderzeniu naszego serca w pracy zarówno, jak w odpoczynku, radości, czy smutku. Dusza się niejako wsłuchiwa w głos Pana; w pokornem oddaniu każdej chwili gotowa jest na Jego usługi. Usta wtedy też prosto a szczerze wymawiają słowa modlitwy, płynącej z przepojonego miłością serca...

Ludzie dziś — niestety, zatracili tę ustawiczną łączność z Bogiem, stąd też umysły współczesne tak są ubogie w wielkie myśli, stąd serca takie słabe, nieszczęśliwe, złamane... Dusze i ciało upadają z oschłości ziemskiej, bo nie pobierają rosy, ni dżdżu z nieba. Grzech i zmysłowość dręczą ludzkość, bo zaprzestała żyć łaskami Ducha. Od dziesiątków lat świat dąży do podniesienia i utrwalenia dobrobytu, — jakież są jednak skutki tych nieszczęśliwych starań?...

Przychodzą na myśl słowa wielkiego Ojca Kościoła, Makarego, który mówi: Jako ten, co wyrabiając chleb, zapomni kwasu, mimo trudu i pracy tylko masę niekształtną i do jedzenia niezdatną wypiecze; albo ten, co zaprawiając mięso zapomni dodać soli, wytworzy robactwo i wstrętne zapachy — tak złamana upadkiem natura ludzka, nie podniesie się w górę, je-

śli sił sobie nie sprosi z nieba, jeśli kwas ducha i sól bóstwa nie przeniknie jej istoty, jeśli Duch Święty jej nie dopomoże.

Być pobożnym znaczy: we dnie i w nocy wznosić duszę swą ku Bogu we wszystkich pracach i czynnościach.

Czesław Sierakowski.

DYSPUTY.

Pyt. Jaką rolę odgrywają w etyce katolickiej „kompromisy", które ukrywają prawdę, wyszukując rozmaite kręte drogi, któremi naiwnych i ufnych rozmyślnie wprowadzają w błąd, ukrywając prawdę, której sami w oczy spojrzeć nie chcą lub nie śmią — tchórzliwie od niej się odwracając. Czy tacy ludzie mogą się zaliczyć do uczciwych i honorowych i co robi ich sumienie?

Ponieważ w życiu spotyka się legjony takich co błyskotliwemi frazesami i natchnioną mową pociągają tysiące, a sami kroczą drogą fałszu, obłudy, wyzysku, kpiąc z owych naiwnie wierzących, czy obowiązkiem jest ich wykryć—czy też umywszy ręce, powiedzieć: „Contre larron larron et demie"?

Wobec tego, precz z katechizmem, niech ustąpi etyka, prawda, sumienie, niech żyje kłamstwo i oszuści, niech żyje szatan, jego wyznawcy i naśladowcy!!

Odp. Pytanie powyższe zawiera kilka pytań i kilka kwestyj, które trzeba rozpatrzyć osobno, dobrze oddzielając od siebie poruszone tematy.

Jest tutaj więc kwestja „kompromisów", tchórzostwa, oszustwa i denuncjacji.

Rozpatrzymy je kolejno.

Nasamprzód „kompromisy". Co to jest kompromis i czy jest kiedykolwiek dopuszczalny?

Podane w pytaniu wyjaśnienie kompromisu nie jest prawdziwe. To nie żaden kompromis, ale zwykłe oszustwo.

Kompromisem nazywamy pewnego rodzaju ustępstwo z jednego punktu na korzyść drugiego pod wpływem jakichś racyj wystarczających. Typowym kompromisem są nasze zwykłe targi w sklepach, gdzie dochodzi się do ustalenia ceny średniej mię-

dzy maximum sprzedającego i minimum kupującego. Kompromisy bywają w układach dyplomatyczno-parlamentarnych, które właściwie są również takiemi targami bez cen stałych i nienaruszalnych, tylko że na większą skalę i na innym terenie.

Tam, gdzie dwie strony układające się dążą do jednego celu ogólnego, lecz mają przytem swoje indywidualne, czy specjalne metody, czy nawet cele uboczne, tam musi zajść ustępstwo z jednej i drugiej strony od tych rzeczy drugorzędnych, by dojść do pomyślnego rozwiązania kwestji zasadniczej.

Odróżnić przytem trzeba zasady od praw i metod.

Zasady są nienaruszalne i frymarczyć niemi nie można.

Prawa i metody przeciwnie, zawsze są i powinny być giętkie i dostosowane do potrzeb życiowych.

Ta sama zasada inaczej realizowaną była w wiekach średnich, np. w stosunku do ludzi, którzy mieli zupełnie inne wymagania i w innym układzie polityczno-społecznym, aniżeli dzisiaj, przy tak szalonej zmianie położenia jednostki, jej obecnych możliwości, jej poziomu wewnętrznego i przy obecnych stosunkach społecznych, które są wynikiem wielu już ewolucyj i rewolucyj od tamtych bardzo już dalekich czasów.

Zasada pozostała ta sama, tylko jej przeprowadzenie i zastosowanie do konkretnych wypadków inne.

Różnica stosowania zasad może być nietylko w czasie, ale i w miejscu, środowisku, w różnych dziedzinach i t. p.

W tym zakresie kompromisy są możliwe, a nawet konieczne, bo w przeciwnym razie całe społeczeństwo, cała historja składałaby się z osobnych, ostrokanciastych figur, luźno, a nawet wrogo przeciwko sobie poustawianych, nie byłoby ciągłości, ani jedności wspólnej.

Czasami—i zresztą bardzo często—zachodzi potrzeba kompromisu w życiu tej samej jednostki, gdzie stronami są rozmaite prawa, kolidujące ze sobą w tym samym czasie.

I tutaj trzeba znowu zaznaczyć, że od zasad odstępować nie wolno, bo byłoby to zdradą i one kompromisowi podlegać nigdy nie powinny. Może być tylko kompromis między prawami.

Ileż wam codzienne życie przynosi na każdym kroku konfliktów rozmaitych praw! Wszystkie nieomal tragedje wewnętrzne ludzi są bolesnym skutkiem tej walki praw.

Walczą ze sobą prawa naturalne, odwieczne i prawa pozytywne, boskie i ludzkie. walczy natura z przepisem, jeden autorytet z drugim i t. d. i t. d.

Niema tak idealnego układu warunków naszego życia, gdziebyśmy nie natknęli się na tę tragedję.

A jednak pewnem jest — bo to jest zasadą — że jedynym celem każdego prawodawcy, czy to będzie Bóg, jako dawca natury, czy jako pozytywny prawodawca, czy człowiek jakikolwiek—jest dobro i tylko wyłącznie dobro tych, dla których te prawa zostały ustanowione.

Prawo, któreby nie miało, jako swego jedynego celu, dobra poddanych, jest nieważnem, nie jest żadnem prawem. Oczywiście, że prawodawca nie może przewidzieć nigdy tysiąca i miljona konkretnych wypadków, w których jego prawo będzie kolidowało z innem i w ten sposób sprowadzało nieszczęście na tego, któremu tak dobrze życzy.

Z ogólnej więc intencji prawodawcy dopuszczalny, a nawet konieczny jest kompromis. Prawodawca jest ojcem, a nie tyranem i okrutnikiem w stosunku do swoich poddanych.

Oczywiście, musi w takich kompromisnch być zachowana powaga, godna ważności sprawy, musi być przestrzegana uczciwość, szlachetność, rozumne uwzględnianie racyj, ale sam kompromis jest rzeczą nieuniknioną.

Formuły: „pereat mundus — fiat justitia", i „dura lex, sed lex", wzięte dosłownie, bez żadnych kompromisów, są samobójstwem ludzkości i zabiciem wszelkiej etyki, która nie na zewnętrznych przepisach się opiera, lecz na wewnętrznym głosie sumienia oświeconego.

Tam, gdzie istnieje więcej niż jeden człowiek, a w człowieku przynajmniej dwa prawa nim rządzące, tam musi być zawsze ustępstwo rozumne—a to nazywamy kompromisem.

* * *

„Ukrywanie prawdy, której się nie chce spojrzeć w twarz i wyszukiwanie krętych dróg, któremi naiwnych i ufnych *rozmyślnie* wprowadza się w błąd" — nie jest kompromisem, a tylko naprzód tchórzostwem życiowem, a następnie zwykłem szalbierstwem i oszustwem. Tacy ludzie, oczywiście, nie mogą być uważani za uczciwych i honorowych i tacy muszą napewno do-

znawać wyrzutów sumienia, które ich potępia, zanim potępi opinja, czy trybunał odpowiedni.

Nie mamy obowiązku, w zwykłych stosunkach towarzyskich (nie w momentach urzędowych, czy w stosunku do tych, którzy nad nami mają władzę i w zakresie tej władzy zadają nam pytania)-—wyjawiania wszystkiej prawdy. Nie wolno nam tylko nigdy kłamać. To są dwie zupełnie różne rzeczy.

To też wprowadzanie innych w błąd—co jest istotą kłamstwa — a tem bardziej rozmyślne czynienie tego, jest zawsze etycznie złem, jest nikczemnością i musi być potępione przez każdego.

Są ludzie, którzy przejęci do głębi swemi zasadami, głoszą je wszystkim z całą szczerością i przekonaniem i pociągają tłumy, spełniając tem swoje posłannictwo, którego są świadomi.

Będąc przytem w życiu osobistem wiernymi tym zasadom, mogą w stosowaniu praw używać rozumnego kompromisu, a nawet muszą to czynić niejednokrotnie, bo spotykają się z ich kolizjami na każdym kroku.

Ci ludzie godni są wiary, mimo nawet pewnych słabości nieuniknionych w poszczególnych wypadkach życiowych.

Tacy jednak, którzy „błyskotliwemi frazesami i natchnioną mową pociągają tysiące, a sami kroczą drogą fałszu, obłudy i wyzysku, kpiąc sobie (a więc świadomi swej obłudy) z owych naiwnie wierzących"—to nie ludzie idei, ale oszuści, wyzyskiwacze i szkodnicy społeczni.

Takich publicznych przestępców wolno nam demaskować w opinji społecznej, a nawet, jeśli to możliwe i podlega przepisom obowiązującego prawa, zwrócić się do prokuratora, który jedynie może być oskarżycielem urzędowym, by wystąpił na drogę oficjalną, celem przeszkodzenia szerzeniu się zła. Tembardziej jest to obowiązkiem tych, którzy z racji swego powołania (rodzice, wychowawcy) winni czuwać nad dobrem społeczeństwa i walczyć ze złem i oni nie mają prawa przechodzić nad temi rzeczami do porządku dziennego i mówić sobie: „Contre laron — laron et demie!"

Z drugiej jednak strony nie trzeba też mieć zbytnio przewrażliwionego sumienia, która—to choroba nazywa się skrupulatyzmem — i uważać się powołanym, a nawet zobowiązanym do stałego urzędu prokuratorskiego, uważając, że jeżeli tak nie

postąpią, to zginie cały katechizm, etyka, prawda, sumienie, a triumfować będzie kłamstwo, oszustwo, szatan i jego wyznawcy.

Coby to było, gdyby społeczeństwo całe składało się z samych takich prokuratorów i inkwizytorów fanatycznych! Niemożliwem byłoby życie. Zaginęłaby wtedy dopiero wszelka prawda, szczerość, wiara i zaufanie, każdy byłby zamknięty w sobie jedynie i czekał z zaciśniętemi zębami, kiedy cała ta tragikomedja życia się wreszcie skończy.

Jak wszędzie i zawsze musi być i tutaj zachowana wszelka roztropność. A nawet tutaj w szczególny sposób, do tego stopnia, by raczej narazić się na zbytnią tolerancję, niż na odrobinę nieopatrznej gorliwości.

Bo sądzić ludzi tak nam jest łatwo i sądzimy ich zawsze, przeważnie z pozoru i tyle, tyle krzywd im przez to czynimy.

Nieraz bowiem to, co w naszych oczach jest złem, jest nawet zbrodnią, patrząc powierzchownie tylko na fakty, w rzeczy samej jest tylko wielkiem nieszczęściem człowieka. My widzimy zewnętrzne powody czynów ludzkich, a nie umiemy zgłębić wszystkich pobudek wewnętrznych, ani objąć wszystkich czynników, które wpływały na taki lub inny postępek człowieka. Tych czynników są tysiące, nieraz w bardzo dalekiej przeszłości, najczęściej bez żadnej naszej winy, jak wychowanie, środowisko, prądy społeczne, tragedje przeżyte i t. p. i t. p. — wszystko to nieraz składa się przez lata całe na jeden czyn, który nazywamy zbrodnią, a który w rzeczywistości jest tylko jedną z dalszych tragedyj nieszczęśliwego człowieka.

Pan Bóg nigdy nie sądzi człowieka z kodeksem w ręku, tylko patrzy w jego duszę i bada wolę. Dlatego też Pan Bóg rzadko, bardzo rzadko potępia, a ma jedynie serdeczne współczucie dla słabych, chorych i nieszczęśliwych ludzi i ma pomocną rękę dobrego Ojca i Przyjaciela.

Gdybyż ludzie, choć w małej cząstce, mogli być na tym punkcie Bogu podobni — ileżby goryczy uniknęło się w życiu i ile spłynęłoby na nas prawdziwej radości.

Bądźmy prawdziwym obrazem bożym!

* * *

Pyt. Materja nie mogła zostać stworzoną, albowiem z niczego nic nie powstaje.

Odp. Właśnie dlatego, że materja nie może sama z siebie powstać, bo nie ma w sobie konieczności istnienia, zmienia się, dzisiaj jest taka, jutro przechodzi w inną formę, lub zamiera zupełnie — A jednak jest.

To dowodzi, że musiała być stworzoną, t. j. że po za nią istnieje jakiś byt niematerjalny, konieczny, który ma w sobie pełnię istnienia, którego istotą jest istnienie, który nie może nie być, i jest źródłem wszystkiego, co jest, który jest Stwórcą z pełni swego bytu.

Pyt. Nie dusza w człowieku myśli, ale mózg: bo im większy mózg i im więcej zawiera fosforu, tem większa zdolność myślenia; długie myślenie pociąga za sobą znużenie mózgu; zaburzenia mózgowe są znowu przeszkodą w myśleniu.

Odp.—Mózg nie myśli, bo gdyby był samodzielnym, toby myślał i po śmierci człowieka i myśl ta wyraziłaby się w jakikolwiek sposób, bo przecież pod względem zewnętrznym, układem organów całego ciała, człowiek po śmierci się nie zmienia. Jednak tak nie jest, bo brakło jednego czynnika: duszy. Myśli więc dusza, a mózg jest tylko organem myślenia, tak jak płuca są organem oddychania, a żołądek—trawienia. Stąd też im ten organ jest doskonalszy, ma więcej składników odpowiadających swej istocie (fosfor)—tem działa sprawniej, t.j. myśli lepiej.

Długie, wyczerpujące działanie organu zużywa go i czyni niezdolnym do pracy—jak żołądek, któremu się daje wiele i niestrawnych rzeczy do przerobienia, w końcu odmawia posłuszeństwa i naodwrót, wszelkie zaburzenia żołądkowe odbierają człowiekowi apetyt,—tak również i mózg od ciągłego intensywnego myślenia zużywa się, dostaje anemji i niedyspozycja mózgu sprowadza trudności w myśleniu, a nawet może spowodować zupełny zanik prawidłowego myślenia, jak to widzimy u chorych umysłowo. Podobnie, jak pędzel artysty wiele się przyczynia do stworzenia arcydzieła obok talentu mistrza, a bez pędzla, albo pędzlem nieodpowiednim nawet najlepszy malarz niewiele zrobi i nie namaluje nic porządnego, choć on sam—jak dusza w człowieku — pozostaje niezmienionym.

Pan Bóg i aniołowie, którzy nie mają ciała, a więc i cielesnych organów duszy, nie męczą się myśleniem, a raczej pojmowaniem, ani nie chorują nigdy umysłowo — ale na to trzeba być czystym duchem. *Amicus.*

CHRYSTUS

(fragmenty z Ewangelji i rozmyślania).

Osiem błogosławieństw.

Błogosławieni ubodzy duchem,
Co od Mamony żyją zdaleka,
Bo ich Królestwo Niebieskie czeka!

Błogosławieni cisi i skromni,
Którzy z uśmiechem niosą trosk brzemię,
Albowiem oni posiądą ziemię!

Błogosławieni ci, którzy płaczą,
Którzy są smutni jak cisza jesieni,
Albowiem oni będą pocieszeni!

Błogosławieni ci, którzy łakną
Sprawiedliwości słonecznych promieni,
Albowiem oni będą nasyceni!

Błogosławieni ci miłosierni,
Którzy nad bliźnich płaczą ranami,
Bo miłosierdzia dostąpią sami!

Błogosławieni czystego serca!
Przed nimi święta, chwalebna droga,
Albowiem będą oglądać Boga!

Błogosławieni pokój czyniący,
Co bliźnich twarzą krzepią świetlaną,
Bo synów Bożych zyskają miano!

Błogosławieni prześladowani,
Cierpiący w imię sprawiedliwości,
Bo ich Królestwo Niebios ugości!

— — — — — — — — — —

Błogosławieni, o! błogosławieni,
Ci którzy padną od wrogów kamieni!
Niechaj im radość wspólna serca splata
Bo hojna w niebie czeka ich zapłata!

Bronisław Wiszniewski.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Atanazy, Biskup Aleksandryjski i Doktór Kościoła.

2 maja.

Było to w pełni czwartego wieku ery chrzescijańskiej. Kościół, po epokowym Medjolańskim edykcie cesarza Konstantyna Wielkiego, rozwijał się pomyślnie, zabliźniał rany po ostatnich prześladowaniach, organizował się, rósł i wzmacniał się każdego niemal dnia. Misjonarze jego głosili niezmordowanie naukę Chrystusową, nawracając do niej całe ludy i państwa i wnosząc jednocześnie radykalną zmianę w stosunki spo- społeczne na podstawie zasad ewangelicznych, szerząc kulturę i naukę.

Były to czasy wielkich organizatorów, apostołów i mężów nauki, w których miał niezadługo przodować nieśmiertelny Augustyn. Niewszystko jednak układało się pomyślnie.

Zaraz w pierwszych latach po uzyskanej wolności, Kościół został śmiertelnie raniony przez jednego ze swych kapłanów, głoszącego fałszywą naukę o Synu Bożym, niezgodną z nauką objawioną.

Kapłanem tym był Arjusz.

Mimo dalekich odległości Państwa Rzymskiego i niedoskonałych sposobów komunikacji, błędy Arjusza zaczęły nabierać rozgłosu i zyskiwać zwolenników.

Dzisiaj podobne teoretyczne poglądy jednego uczonego przeszłyby niepostrzeżenie do archiwów bibljotecznych. Podówczas jednak każdy był teologiem, zastanawiał się i roztrząsał tematy religijne. Religja była ściśle związana z życiem, wykształcenie religijne wszystkich było mniej więcej jednakowe, jednostki tylko pracowały naukowo, ogół zaś czuł się, i słusznie zresztą, upoważnionym do zabierania głosu w poszczególnych kwestjach filozoficzno-religijnych, które miały dla niego znaczenie życiowe, a które traktował narówni z każdą inną kwestją natury społecznej, czy politycznej. Rozbieżność więc zdań teologicznych powodowała różnice daleko sięgające w ustrój państwowy i układ warstw społecznych.

Kościół wraz z cesarzem Konstantynem zapobiegli autorytatywnie niebezpieczeństwu, poddając pod dyskusję i sąd naukę i osobę Arjusza na soborze Nicejskim i wydając wyrok potępiający.

Ambitny herezjarcha nie poddał się wyrokowi, lecz ufny w pomoc swych zwolenników, a nawet cesarzy rzymskich po śmierci Konstantyna, trwał dalej w błędzie i zyskiwał ciągle nowych adherentów.

Sprawa przybrała wagę kwestji państwowej. Katolicyzm i arjanizm zmagały się ze zmiennem szczęściem, zależnie przedewszystkiem od stanowiska władców Rzymu.

Chwilami zdawało się, że zginie Łódź Piotrowa. „Świat— jak w pewnym okresie walk zawołał św. Hieronim — ocknął się i z przerażeniem stwierdził, że jest arjańskim".

Po wielu latach burza uciszyła się, Kościół zwyciężył, lecz rany zadane były ciężkie i wstrząśnienia dla młodego organizmu szkodliwe bardzo.

Szkodliwe może, sądząc po ludzku, bo w planach Opatrzności, tak jak każde prześladowanie i walka, było ono zbawienne, albowiem hartowało duszę chrześcijańską, wyjaśniło i umocniło przekonanie w prawdzie i wyrabiało wodzów tak niezbędnych zawsze, a w szczególności w okresie budowy fundamentów pod wielką przyszłość dziejową Kościoła.

Jednym z bohaterów tego dramatu i jednym z najdzielniejszych obrońców prawdy katolickiej i wodzów ludu wierzącego był Atanazy, biskup Aleksandryjski.

Była to dusza nawskroś bojowa. I takich potrzebuje również Pan Bóg w swojem królestwie, lwów potężnych obok łagodnych jagniątek, mocarzów myśli obok prostaczków, monarchów i żebraków, działaczy społecznych o zakresie wszechświatowym i cichych stróżów domowego ogniska. Wszystko w tym przedziwnym ogrodzie bożym ma swoje miejsce, a razem z tego niezliczonego kwiecia wszelkich barw i odcieni, tworzy się przecudny kobierzec, wyścielający świątynię Pańską, migocący w blaskach słonecznego Boga tysiącem i miljonem tęcz ku radości niebu i ziemi.

Pierwszą areną jego walki był sobór Nicejski, na który jako djakon, towarzyszył swemu biskupowi i poprzednikowi na katedrze Aleksandryjskiej. Mocą i głębią swych argumen-

tów w czasie rozpraw soborowych pokonał wówczas na słowa Arjusza i jego adwokatów, ściągając tem na siebie ich zemstę do końca życia.

Z odkrytą przyłbicą prowadził dalej walkę z herezją, broniąc piórem i czynem nauki Kościoła, nie ustępując ani na krok ze swych szańców, nawet wtedy, gdy pod naporem przeważnej liczby wrogów i ich siły politycznej, musiał schodzić aż do katakumb.

W walce z Atanazym arjanie nie przebierali w środkach. Chcieli zabić świętego biskupa w oczach opinji, oskarżając go fałszywie o akty zbrodnicze. Atanazy nie okazał się w tych wypadkach milczącym barankiem, ale wiedząc, że chodzi tutaj o bożą sprawę, z całą prostotą, nie pozbawioną zresztą życiowej mądrości, obalił przed Trybunałami niecne oszczerstwa.

Po Konstantynie zmieniali się szybko cesarze, jego synowie, Konstans i Konstancjusz, później Juljan Apostata.

Pierwszy i ostatni, wyraźni zwolennicy Arjusza i wrogowie Kościoła, prowadzili jawnie walkę polityczno-religijną, która dosięgła i Atanazego.

Nie były to już podjazdy osobiste, ale prawdziwe bitwy na całym froncie, godzące przedewszystkiem w osobę nieulęknionego wodza.

Ale Atanazy był jakby stworzony do takiej walki. Stała mu się ona jakby potrzebą duszy, rósł i wzmacniał się na duchu, im walka stawała się trudniejsza.

Całe swe życie długie spędził w ten sposób na froncie. Lata całe przebywał na wygnaniu, tułając się po obcych stronach, przez pięć lat mieszkał w pobliżu swej stolicy biskupiej, ukryty w wyschłej pustynnej cysternie, przez cztery miesiące ukrywał się w grobie własnego ojca w pobliżu Aleksandrji i stamtąd kierował armją swoich wiernych, uciekał po lądach i wodach, sam nieraz zawracając w paszczękę goniących go wrogów i zręcznym manewrem myląc za sobą ślady... Co pewien czas prawnie, lub w ukryciu powracał do swej stolicy, by znowu z niej uchodzić. Nie rzucił jednak nigdy broni, nie poddawał się, nie dał za wygraną, ale trwał na stanowisku, w pierwszym szeregu walczących, zawsze nieustraszony, nigdy nieuchwytny, jak migocący ognik pojawiający się to-tu, to-tam, gdzie go się najmniej spodziewano i spra-

wujący nieustannie rząd dusz nad tymi, dla których stał się już wtedy uosobieniem niezłomnego bohaterstwa i wiary płonącej.

Mimo tak ciężkich warunków pracy, człowiek ten znalazł miejsce i czas, by naukę swą w obronie dogmatu Syna Bożego unieśmiertelnić w książkach, które mu później zjednały zaszczytny tytuł „Doktora Kościoła".

Biskup-wygnaniec i tułacz umarł jednak w swem własnem łóżku i we własnym domu w Aleksandrji. Na placu pozostał do końca i zwyciężył.

Cała postać tego bohatera prawdy tchnie jakąś niezwykłością. Niewiadomo, co w nim bardziej podziwiać: czy heroizm wiary i zaparcia się dla swoich owieczek, czy umiłowanie prawdy, czy nieludzką cierpliwość i łagodność w tylu przeciwnościach, czy hart tułaczego żywota, czy brawurę wprost śmiejącą się w oczy, gdy nań urządzano formalne łowy, jak na dzikiego zwierza? Człowiek ten mienił się w oczach, zwijał i skręcał, jak wąż, powstawał i niknął jak obłok, jak pióropusz pary, wychylał ze wszystkich stron swą zawsze pogodną twarz, by upewnić swe owieczki, że jest i że czuwa i by wrogom swoim dać znać, że nie przemogli go jeszcze. To jako mąż nauki, jako płomienny kaznodzieja, dobry pasterz i administrator, to jako rycerz w zbroję zakuty, bijący łuną swych puklerzy i tchnący mocą nieprzezwyciężoną, to poprostu jako pełen zawadjackiego humoru i szalony ryzykant na froncie walki — wszystko to w nim było sharmonizowane, bez żadnej przesady i nienaturalności, a wypływające wprost z ducha, pełnego wiary, ufności dziecięcej i gotowości na wszystko.

Nie miał nic do stracenia, bo w duchu poświęcił wszystko dla Boga i dusz ludzkich, a ciągłe niebezpieczeństwo i karkołomne warunki życia i pracy podniecały tylko jego zapał, rozmach i to „sans-gêne" rycerskie, dochodzące nieraz do naturalnego zresztą zawsze „szaleństwa" i do potoków prawdziwej, szczerej, serdecznej i beztroskiej radości.

Taki „zagończyk" boży, obiegający swój odcinek we dnie i w nocy, wszędzie obecny i nigdzie nie ustalony, stróż, mędrzec, żołnierz, ojciec, bohater, cały jak płomień niegasnący nigdy. *Ks. A. Bogdański.*

Ojciec św. Leon XIII.

I.

W dziejach Kościoła katolickiego z trzynastu papieży, co nosili imię Leona, miano Wielkiego otrzymał dotąd jeden Ojciec św. Leon I, właściwie jednak gdy weźmie się pod uwagę tak czyny i prace, jak żywot i walory etyczne, to przydomek taki możnaby było nadawać również ostatniemu imiennikowi jego: Ojcu św. Leonowi XIII. Życie tego drugiego Namiestnika Chrystusowego, zasiadającego na Stolicy Piotrowej w stuleciu bieżącem jeszcze, jest rzeczywiście niezwykłe, pełne działania Opatrzności Boskiej, widocznie kierującej przyszłego Ojca św. do najwyższej na świecie godności, widocznie prowadzącej go przez różne urzędy oraz stanowiska aż do władztwa dusz miljonowych rzesz katolików, różnej barwy skóry, różnej rasy, różnej narodowości, a mimo to jednakowo miłych Odkupicielowi i Jego ziemskiemu przedstawicielowi.

Ojciec św. Leon XIII—to potomek starożytnego bardzo rodu, który wydał nawet dwoje błogosławionych, mianowicie bł. Piotra Pecci'ego oraz bł. Małgorzatę Pecci. Ojciec wielkiego papieża, hrabia Ludwik Pecci, piastował funkcję pułkownika wojsk pewnego udzielnego księcia włoskiego, małżonką jego natomiast była Anna Prosperi Buzi, pochodząca w prostej linji od słynnego w historji średniowiecznej Cola'i di Rienzi. W pierwszem dziesięcioleciu wieku dziewiętnastego małżeństwo to posiadało już trzech synów i dwie córki, tymczasem dnia 2 marca 1810 r. i tak już liczna rodzina powiększyła się o jednego jeszcze członka, co w dwa dni potem ochrzczony został pod imieniem Wincentego Joachima, a co w przyszłości miał przyozdobić swe skronie tiarą papieską.

W dziecińswie swoim młodziutki hrabia Pecci nie zdradza żadnych specjalnych skłonności do stanu duchownego. Żywy, pełen temperamentu, posiadał zamiłowanie do życia światowego, do koni, matka więc przypuszczała, iż ożeni się, kapłanem zaś, zdaniem jej, miał zostać Jan Baptysta, syn starszy o osiem lat od Wincentego Joachima.

W 1818 r. obaj młodsi synowie hrabiostwa Pecci'ch oddani zostali na wychowanie do instytutu o.o. Jezuitów w Witerbo, gdzie przyszły papież wykazał wielkie zdolności w kierunku humanistycznym, zwłaszcza do języków starożytnych, przyczem, jako

dwunastoletni dopiero chłopiec, zasłynął swemi wierszami łacińskiemi. W ciągu lat sześciu, spędzonych pod okiem wychowawców jezuickich, rozwinęło się w Wincentym Joachimie powołanie do stanu duchownego, czego matka bynajmniej nie tłumiła, choć starszego syna swego, lękającego się służby wojskowej, powstrzymywała od kroku tego kategorycznie.

Gdy studja niższe w Witerbo dobiegły końca, hrabina Pecci myślała oddać obydwóch synów do kolegjum o.o. Jezuitów w Rzymie, na przeszkodzie wszakże ku temu stanęła w 1824 r. śmierć jej. Od miesiąca października 1825 r. najmłodszy hrabia Pecci wstąpił na rzymski Uniwersytet Gregorjański, pracując z oddaniem nad łaciną Po upływie trzech lat oddał się filozofji, w czem pomimo słabości organizmu czynił postępy wspaniałe, tak, że nauczycielowie uważali go za swoją chlubę. W 1832 r. studja w Uniwersytecie Gregorjańskim zostały ukończone, przyczem jakgdyby kropkę ich stanowiło uzyskanie przez dwudziestodwuletniego hrabiego Pecciego doktoratu z zakresu teologji.

Dotychczasowe wykształcenie przyszłego Namiestnika Chrystusowego miało kierunek humanistyczny i tak naprawdę było raczej teoretyczne, t. zn. do zastosowania w praktyce życia codziennego mało pożyteczne, teraz więc powziął zamiar wstąpienia do Colegium Nobilium, stanowiącego coś w rodzaju papieskiej szkoły dyplomatycznej, kędy przedstawiciele rodów arystokratycznych, pragnący zostać kapłanami, przygotowywali się do pracy w dyplomacji. Hrabia Pecci przez czas jakiś wahał się coprawda, nie był zdecydowany, czy przyjąć święcenia kapłańskie, nurtowała w nim bowiem obawa przed niepodołaniem obowiązkom, ale rychło otrząsnął się od tych skrupułów oraz zamiar wcielił w czyn. Colegium Nobilium było dla wielkiego papieża-prawodawcy pierwszą naprawdę szkołą prawniczą, tu dopiero prawo kanoniczne i cywilne zgłębił należycie oraz dokładnie. Zapadając coraz na zdrowiu, szczególny triumf święcił dnia 6-go maja 1835 r., kiedy to brał udział w wielkiej dyspucie w obecności pięciu kardynałów i szeregu przedstawicieli wyższego duchowieństwa.

W życiu prywatnem młody arystokrata z upodobaniem oddawał się lekturze autorów klasycznych, poezje lubiał czytać niepomiernie, kształcąc jednak oraz wzbogacając umysł, nie zapominał też o wzmocnieniu ciała. W czasie wakacyj z zapałem

oddawał się polowaniu, a ponadto, podobnie, jak obecny Ojciec św. Pius XI, lubił wielce alpinistykę, będąc zapewne tego samego zdania, co profesor Kontard Ferrini, tego mianowicie, że „w zetknięciu się z przyrodą czujemy bliskość Boga i podziwiamy Jego cuda".

W wieku lat dwadzieścia siedem hrabia Pecci, ciągle jeszcze człowiek półświecki, bo mający tylko wstępne święcenia kapłańskie, został mianowany prałatem domowym Jego Świętobliwości. Nominacja ta niebyła podówczas rzeczą nadzwyczajną, ponieważ za czasów pierwszego Państwa Kościelnego było to dość częste. Wyższe święcenia kapłańskie przyjął dopiero dnia 31 grudnia 1837 r., w sam zaś Nowy Rok 1838 r. odprawił Prymicje i to—szczegół godny podkreślenia — przy grobie św. Stanisława Kostki.

Jako kapłan, pełen sprężystości jakoteż energji, wkrótce potem ks. Pecci zamianowany został delegatem papieskim do niewielkiej prowincji kościelnej, Benewentu, by usunął tam panujące nieporządki. Urzędowanie jego przypadło na czasy bardzo ciężkie, w okresie okupacji francuskiej, wszakże czynił, co mógł, póki nie padł na łoże boleści, zmożony ciężką chorobą, wyjście z której poczytane może być wręcz za cud. Po powrocie do zdrowia w działalności jego poczyna zarysowywać się wyraźnie zainteresowanie się kwestjami natury ekonomicznej. Za pierwszy swój obowiązek uznał troskę o polepszenie położenia ekonomicznego szerokich mas. W tym oto celu wynalazł nowe źródła dla handlu, postarał się o budowę nowych dróg komunikacyjnych, wreszcie uzyskał w Rzymie zwolnienie ludności od podatków najuciążliwszych. Trzy lata takiej pełnej poświęcenia pracy wystarczyło całkowicie, ażeby dobrobyt ogólny wzmógł się w prowincji owej w stopniu bardzo znacznym.

Z Benewentu ks. Pecci przeniesiony został do Umbrji, największej prowincji Państwa Kościelnego; a stąd w 1843 r. wyjechał na stanowisko nuncjusza apostolskiego w Brukseli, otrzymawszy przedtem prekonizację na arcybiskupstwo Damietty in partibus infidelium. Pobyt dzielnego kapłana w stolicy Belgji znamionuje zwłaszcza troskliwość o katolickie szkolnictwo wyższe oraz o naukę wogóle, dowodem czego jest zaopiekowasie się katolickim uniwersytetem w Lowanjum.

Służba dyplomatyczna ks. arcybiskupa Pecci'ego trwała z górą dwa lata, następną natomiast placówką, wyznaczoną mu przez Namiestnika Chrystusowego, była stolica biskupia w Perudżji. Episkopat perudżijski trwał lat trzydzieści dwa. Przez ten spory szmat czasu świętobliwy duszpasterz wprowadził w swej diecezji cały szereg reform i ulepszeń, które były miniaturą jego późniejszych rządów na Stolicy Piotrowej. Szereg osób porywali wtedy w swe szeregi przywódcy organizacyj masońskich wprost albo masonizujących, światły przeto duszpasterz przez podniesienie poziomu ducha religijnego i przez uświadomienie katolickie wiernych przeciwstawiał się zakusom wrogów ze wszystkich sił. W seminarjum diecezjalnem swem w 1859 r. zaprowadził studjum filozofji św. Tomasza z Akwinu, czyniąc zeń podstawę wykształcenia przyszłych swoich kapłanów, których oprócz tego nakazywał należycie zapoznawać z literaturą klasyczną epoki rzymskiej.

Zapożyczając słów z terminologji muzycznej, rzec można, że rządy ks. arcybiskupa Pecci'ego w Perudżji były uwerturą jego pontyfikatu. Spostrzeżenie takie narzuci się każdemu, kto bliżej zapoznaje się z życiem Ojca św. Leona XIII. Z biografów jego porównanie tego rodzaju czyni Leroy Beaulieu, powiadając mianowicie: „Papież, jako biskup Rzymu, rozwinął to, co, jako arcybiskup Perudżji, zasiadając na wyniosłej stolicy Umbrji, czuł i myślał. Jego działalność, jako papieża, jest śmielsza i rozleglejsza, niż marzenia jego młodości i plany, jako dojrzałego męża... Podobne wrażenie wyniesiemy po zestawieniu jego listów pasterskich z encyklikami papieskiemi. I w jednych i w drugich są te same ideje podstawowe, te same cele, chce on bowiem wykazać, że Kościół jest matką i strażnicą tego, co wzniosłe, co piękne i prawe. Tu i tam widzimy jednakowo gotowość do poznania i zgłębienia naszych czasów i środków, służących do uleczenia ran współczesnych społeczeństw; to samo dążenie do wychowania księży, jednocześnie pobożnych i światłych, coby stanęli na wysokości swego zadania i wymagań dzisiejszych; spostrzegamy wreszcie tę samą zapobiegliwość w zwalczaniu błędów i w krzewieniu prawdy. Wprawdzie w listach biskupa nie odnajdujemy jeszcze tych rozległych horyzontów ani tego rzutu oka, którym obejmuje on świat cały,— być może — nie masz w tych listach, ani tej jasności, ani tej

głębokości, jaką widzimy w encyklikach papieża. Dodać i to trzeba, że biskup pisał po włosku, papież po łacinie; że w samem położeniu leży znaczna różnica, bo słowo papieża jest czemś nierównie większem, niż słowo biskupa. Wszystkie listy biskupie mają formę i treść właściwą kardynałowi[1]) Pecci, znakomitemu znawcy zarówno humaniorów, jak i wiedzy teologicznej; encykliki Leona XIII mają nadto niezwykłe rozwinięcie i namaszczenie. Do najcenniejszych prac kardynała Pecci zaliczamy: traktat o doczesnej władzy papieża (1860 r.) i drugi o błędach religijnych co do moralności, szerzących się w teorji i w praktyce wśród ludu (1864 r.). Następnie są dwa listy jego o Kościele w XIX wieku, o Kościele i cywilizacji (1877 r.—1878 r.). W ostatnim tym liście stoi kardynał już bardzo blisko swoich pism papieskich i niemało z niego ustępów, odnoszących się do socjalnych zagadnień, zaczerpnął on potem do swej encykliki: Novarum rerum"[2]).

(D. n.). *J. M. Chudek.*

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Na marginesie Encykliki „Graves de Communi".

Ojciec św. Leon XIII wydał kilka encyklik dotyczących bezpośrednio kwestji socjalnej.

W jednej z nich: „Quod Apostolici muneris" z dnia 28 grudnia 1876 r. wskazywał katolikom błędy, tkwiące w zasadach socjalizmu i wielkie niebezpieczeństwo, jakiem ten kierunek zagraża, zarówno dobrom doczesnym jak i moralności i religji.

W dniu 15 maja 1891 r. Stolica Apostolska wydała wiekopomną encyklikę „Rerum Novarum", która pozostanie może jeszcze przez długie lata najpełniejszym i najbardziej zdecydowanym wyrazem oficjalnych poglądów Kościoła na kwestję społeczną i związane z nią zagadnienia ekonomiczne.

---

[1]) Kreacja kardynalska miała miejsce dnia 19 grudnia 1853 r.

[2]) Cytat w wersji ks. Antoniego Szlagowskiego.

Wreszcie dnia 18 stycznia 1901 r. ukazała się Encyklika „Graves de Communi", poświęcona demokracji chrześcijańskiej i omówieniu zadań i właściwości, ruchu chrześcijańsko-społecznego. Encykliką tą bliżej się zajmiemy, gdyż jest ona mało znana wśród inteligencji katolickiej.

Na wstępie Ojciec św. wyraża radość i zadowolenie, że inicjatywa Jego, podjęta w encyklice „Rerum Novarum", znalazła oddźwięk w społeczeństwach katolickich. Katolicy nie tylko nabrali otuchy i siły „do przeprowadzenia dzieł zbożnie rozpoczętych", ale także w życiu praktycznym przyczynili się w dużym stopniu do zorganizowania takich instytucji, jak, „biura ludowe do udzielania ludziom nieoświeconym obrony prawnej, wiejskie kasy pożyczkowe, towarzystwa wzajemnej pomocy i zabezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków, związki robotnicze, tudzież inne tym podobne spółki i pożyteczne instytucje".

Następnie Ojciec św. zajmuje się nazwą, czyli, inaczej mówiąc, szyldem, który powinien być wywieszony na sztandarze ruchu, realizującego katolicki program socjalny. Nazwę „socjalizmu chrześcijańskiego" uważa za nieodpowiednią i stwierdza, że słusznie została zarzucona. Wspomina nazwy używane w rozmaitych krajach, jak: „Chrześcijańska Akcja Ludowa", „Chrześcijańsko-socjalni" i „Demokracja Chrześcijańska". Do tej ostatniej nazwy przywiązuje szczególną wagę, analizując dokładnie zarzuty i wątpliwości, które są przeciw niej wysuwane. W końcu dochodzi do wniosku następującego:

„Działanie więc katolików, podjęte dla niesienia pomocy ludowi i jego podźwignięcia, zgadza się całkowicie z duchem Kościoła i odpowiada najzupełniej jego nieustannym przykładom. Czy zaś to, co wiedzie, do rzeczonego celu, nazywa się chrześcijańską akcją ludową, czy demokracją chrześcijańską, rzecz to małej wagi, byle udzielonych przez nas wskazówek przestrzegano z należytem posłuszeństwem i dokładnie".

Rozważania na temat nazwy, aczkolwiek bardzo ciekawe i charakterystyczne, nie są najważniejszą częścią Encykliki. Daleko ważniejsze są wskazania Ojca Chrześcijaństwa na temat właściwości, któremi winien odznaczać się ruch chrześcijańsko-społeczny, oraz nacisk, który kładzie w kilku miejscach Encykliki na obowiązek i konieczność prowadzenia akcji socjal-

nej przez katolików. Rozważmy najpierw zagadnienie pierwsze potem przejdziemy do drugiego.

Całkowite wyczerpanie tych zagadnień nie leżałoby w ramach niniejszego artykułu. Dlatego poruszymy tylko niektóre, uważane przez nas za najważniejsze.

Encyklika przeprowadza analizę zarzutów, skierowanych przeciwko nazwie: „chrześcijańska demokracja" i, polemizując niejako z temi zarzutami, ustala szereg zasad ruchu chrześcijańsko-społecznego, przyczem z wywodów tych widać, że encyklika uważa to określenie: „chrześcijańska demokracja" za najbardziej ułatwiające rozróżnienie i wyjaśnienie pewnych pojęć zasadniczych z nim związanych.

Przejdźmy do tych wyjaśnień:

1. Oto w rozumieniu Encykliki „demokracja chrześcijańska" „nic innego nie oznaczała, jedno dobroczynną akcję chrześcijańską dla ludu", a w każdym razie nie oznacza takiej, czy innej formy rządu. „Skoro bowiem przepisy prawa przyrodzonego i Ewangelji stoja z natury rzeczy wyżej od przypadkowych urządzeń ludzkich, przeto nie zależą od żadnej państwowej formy rządu i mogą jednak pogodzić się z każdą, byleby nie sprzeciwiała się uczciwości i sprawiedliwości".

Jednym słowem nie chodzi o demokrację w znaczeniu politycznym t. j. formę rządu, w której lud ma zagwarantowane takie, czy inne prawa w stosunku do władzy państwowej, lecz o demokrację chrześcijańską w znaczeniu religijnem, społecznem i gospodarczem.

Stąd wypływają pewne konsekwencje. Kościół uregulował zasadnicze ramy programu gospodarczo-społecznego, ale nie wypowiedział się zupełnie w sprawie ustroju państwowego, pozostawiając pod tym względem wolną rękę katolikom. Wynika stąd, że wolno katolikowi być monarchistą, lub republikaninem, zwolennikiem „sejmowładztwa", lub dyktatury, **ale natomiast konsekwentny katolik, posłuszny głosowi Stolicy Apostolskiej nie powinien wyznawać zasad socjalistycznych, lub liberalno-kapitalistycznych. W dziedzinie bowiem zagadnień gospodarczo-społecznych jest on związany orzeczeniami zawartemi w encyklikach.**

Weźmy teraz stronnictwo polityczne, zorganizowane na zasadach chrześcijańsko-społecznych, czy to będzie niemieckie

„Centrum", czy austryjackie „Christlich-Socialen", czy francuskie „Partie democrate populaire", czy Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji — ugrupowania te są związane ogólnemi zasadami religji i moralności chrześcijańskiej, oraz programem społecznym, zawartym w encyklikach. Nikt im jednak nie przeszkadza mieć własne poglądy zależnie od potrzeb państwa i narodu w rozmaitych dziedzinach zagadnień publicznych, byle by tylko te poglądy nie sprzeciwiały się wyżej zaznaczonym zasadom. Oczywiście za te poglądy czysto polityczne Stolica Apostolska nie bierze żadnej odpowiedzialności, tak samo, jak nie bierze odpowiedzialności za takie, czy inne posunięcia danego stronnictwa.

Weźmy przykład konkretny. Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji jest dajmy na to zwolennikiem republiki, nie monarchji. Otóż ten pogląd — według wyjaśnień zawartych w encyklice Graves de communi, tak jak my je pojmujemy — należy, że się tak wyrazimy, do pojęcia: „polskie stronnictwo", ale nie wchodzi już w zakres ściśle pojętego pojęcia „chrześcijańskiej demokracji". Natomiast pogląd dajmy na to, że wykład religji w szkolnictwie winien obowiązywać, że strejk słuszny, sprawiedliwy i roztropny może być prowadzony w obronie warstw pracujących przed wyzyskiem — należy do pojęcia: „chrześcijańskiej demokracji", członek niemieckiego „Centrum" będzie obowiązany do takiego samego poglądu, chociaż wolno mu być równocześnie monarchistą.

2. Następne zagadnienie, poruszone obszernie w Encyklice jest o tyle charakterystyczne, że dotychczas aktualne. Spotkać się z nim możemy w formie zarzutu po dziś dzień w sferach nacjonalistyczno liberalnych, które stale zarzucają ruchowi chrześcijańsko-społecznemu charakter klasowy t. j. troszczenie się wyłącznie o dobro klas niższych z pominięciem wyższych.

Krótko załatwia się Encyklika z powyższym zarzutem. Po stwierdzeniu, że „chrześcijańskie prawo miłości obejmuje „wszystkich ludzi, bez różnicy stanów" dodaje: „wszelkie popieranie interesów ludu oddziaływa z pewnością korzystnie i na inne stany tembardziej, że jak niżej wykażemy, i one wypada i trzeba wciągnąć do wspólnej pracy, aby cel został osiągnięty". W innym znowu miejscu czytamy:

„Przedewszystkiem należy starać się (w akcji socjalnej—przypisek red.) o życzliwą pomoc tych, którzy dla swego stanowiska, majątku, zdolności, wykształcenia mają w społeczeństwie większą powagę" ..

A o tych samych wielkich tego świata powiada Ojciec św. o kilka wierszy dalej:

„A chcielibyśmy, aby zważyli. że nie mają wyboru troszczyć się o los klas najniższych, lub tego zaniechać—lecz, że są do tego obowiązani... Jak zaś ważnym jest ten obowiązek, o tem rozstrzyga obfitość otrzymanych dóbr, za którą idzie koniecznie surowszy rachunek, jaki trzeba będzie zdać przed ich najwyższym Dawcą, Bogiem".

Tak więc sprawa jest postawiona zupełnie wyraźnie. Ruch chrześcijańsko-społeczny nie może odrzucać od siebie ludzi z żadnych warstw społecznych, którzy przychodzą z czystym zamiarem pracy w jego szeregach, lecz równocześnie wielcy tego świata surowy zdadzą rachunek przed Bogiem, jeżeli nie pójdą z pomocą dziełu, sankcjonowanemu przez Namiestnika Chrystusowego, jeżeli obojętnie przyglądać się będą wysiłkom innych, słabszych może i mniej zdolnych.....

Pogląd ten należałoby bardzo mocno wrazić w pamięć polskiej inteligencji katolickiej.

3. Przechodzimy do trzeciego zagadnienia. Czytamy w Encyklice:

„Również należy wykluczyć przypuszczenie, że pod nazwą demokracji chrześcijańskiej kryje się dążność do zniesienia wszelkiego posłuszeństwa i prawowitej władzy. Tak prawo naturalne, jak chrześcijańskie nakazuje szanować przełożonych w państwie, każdego według jego godności i wypełniać słuszne ich rozkazy... A w żaden sposób nie można tego pogodzić z zasadami życia chrześcijańskiego, jeżeli ktoś nie chce słuchać tych, co na mocy swej władzy mają w Kościele pierwszeństwo...

Rzecz oczywista! Ruch chrześcijańsko-społeczny nie może być ruchem rewolucyjnym w stosunku do władzy świeckiej. Wyjątek stanowi chyba wypadek, w którym ta władza stosuje wobec katolików posunięcia bezprawne, rewolucyjne, sprzeczne z prawem naturalnym, zagraża ich życiu, mieniu, lub religji środkami gwałtownemi (np. Meksyk, Rosja Sowiecka). W tym wypadku katolicy mają prawo chwycić za karabin i podnieść sztandar słusznego buntu w obronie swojej religji, swoich świątyń, życia i mienia.

W normalnych natomiast warunkach obowiązuje ruch chrześcijańsko-społeczny lojalność wobec władzy państwowej i prowadzenie swojej działalności środkami pokojowymi i legalnymi.

Jeżeli zaś chodzi o stosunek ruchu chrześcijańsko-społecznego do władzy duchownej—to cechować go winny: całkowite posłuszeństwo i podporządkowanie się obowiązującym orzeczeniom Stolicy Apostolskiej i episkopatu, synowskie oddanie i jaknajdalej idąca życzliwość oraz współdziałanie i współpraca z hierarchją dla dobra Kościoła we wszystkich dostępnych dziedzinach. Stosunek ten, jak już podkreśliliśmy, nie krępuje zupełnie samodzielności ruchu w tych licznych i szerokich dziedzinach, życia praktycznego, które Kościół pozostawia swobodnej inicjatywie wiernych. W dziedzinie natomiast doktrynalnej, od której zależą oczywiście i posunięcia praktyczne—Kościół musi być nieprzejednany, jako szafarz Prawdy. W ostatnich kilkunastu latach mieliśmy we Francji dwa przykłady potępienia przez Stolicę Apostolską doktryn: lewicującego „Sillon'u" i nacjonalistycznej „L'Action Française". W obydwu wypadkach krok Kościoła był bardzo charakterystyczny: zakreślał poniekąd ramy katolickim doktrynom politycznym na prawo i na lewo.

* * *

Na zakończenie podajemy kilka zdań z Encykliki, które nietylko zachowały po dzień dzisiejszy pulsującą życiem aktualność dla całego chrześcijaństwa, lecz także mogą stanowić specjalną wartość pozytywną w dzisiejszej sytuacji społeczeństwa polskiego.

Oto urywek wezwania do duchowieństwa:

„Że wobec dzisiejszych stosunków jest rzeczą nader pożądaną iść między lud i rozwinąć pośród niego zbawienną działalność, zaznaczyliśmy to nie raz w naszych przemówieniach do kleru; częściej jeszcze w listach do Biskupów i innych członków stanu duchownego, także w ostatnich latach pochwaliliśmy miłosną troskę o lud i polecaliśmy ją jako szczególniejsze zadanie duchowieństwu tak świeckiemu, jak zakonnemu"...

A to dotyczy znowu wszystkich katolików.

„Więc sprawa woła, a woła głośno, że trzeba odważnych umysłów i sił zespolenia, gdyż zbyt szeroki zasiew nędzy przedstawia się oczom i straszne grozi niebezpieczeństwo przewrotów głównie skutkiem wzmagającego się wpływu socjalistów.

Chytrze wciskają się oni w łono społeczeństwa... i kuszą liczniejsze z każdą chwilą gromady łaknących, które skutkiem niewoli dają się łatwo zmieniać i prowadzić na bezdroża. Chodzi zarówno o państwo i religię, bronić obojgu i poszanowanie im zapewnić- to święty obowiązek wszystkich uczciwych ludzi"...

Na samym końcu Encykliki przytacza Ojciec Chrześcijaństwa słowa św. Pawła do Rzymian: **„Proszę was tedy... Przemieńcie się w nowości umysłu waszego"...** Czy nie możnaby tego dosłownie zastosować do polskiej inteligencji katolickiej?!

Oby wczas zrozumiała...

Stefan Kaczorowski.

Walka z współczesnem pogaństwem.

U schyłku doby starożytnej Kościół, przetrwawszy długotrwałe prześladowania wyłania się jako potęga duchowa, przed którą korżą się potężni cezarowie rzymscy. Garną się wtedy do nauki Boskiego Mistrza, obok licznych adeptów, pociągniętych jej wzniosłością, także i różne „parszywe owce" żądne zysków i stanowisk. Niedawno jeszcze prześladowali chrześcijan, iż ci nie chcieli czcić cesarza jako Boga, teraz gdy władza świecka schyliła głowę przed Następcą Piotrowym i oni spieszą przyjąć chrzest byle tylko przypodobać się cesarzowi.

Mijały wieki, nieraz Kościół musiał walczyć z pozornymi katolikami, poganami z ducha. Zmieniały się czasy, przewrotna natura ludzka pozostała ta sama. Cesarzy rzymskich zastąpili różni Ludwikowie francuscy, Józefowie austryjaccy i podobnie jak ich poprzednicy, uznawali się za władców religji.

Przyszła wreszcie rewolucja francuska. Wylała rzeki krwi i odsłoniła maskę obłudy. Wypowiedziana została otwarta walka Kościołowi. Wiek XIX jest jednem pasmem zmagań się tych dwóch obozów. U nas jednak podziemne siły uważały się za zbyt słabe do otwartej walki i pozostawały w ukryciu. W wieku XX poczuli się już na siłach. W roku zeszłym masoni w Polsce wystąpili zupełnie otwarcie i to, co było dotąd dla wielu mytem, wylęgłym w bujnej fantazji różnych strachajłów, stało się rzeczywistością,

My, katolicy nie możemy pozostać bezczynni, musimy dać mocną odpowiedź na owe wraże zakusy. Powinno się zaprzestać tej nieustannej defenzywy. Wiecznie się broniąc, nigdy nie atakując nie urwiemy łba przewrotnej hydrze. Zawsze będziemy mieli w perspektywie straty, a nie zwycięstwo. Mamy

wiele do zdobycia. Przytłaczająca większość — to wrogowie chrześcijaństwa. Orężem skutecznym w tej walce może być tylko zwarta organizacja, która, zjednoczywszy swe siły, nietylko będzie się chronić przed zarazą, lecz ją niszczyć.

Walka jest trudna, prowadzona na wielu frontach przeciwko niebywałemu sprytowi i przebiegłości. Akcja katolicka musi stanąć na należytym stopniu techniki. Cóżbyśmy powiedzieli o tym, któryby w erze kulomiotów, armat szybkostrzelnych i t. p. bronił się łukiem lub procą. Wiedza ludzka, wynalazki, wszystko jest wykorzystywane przeciw Kościołowi. Głosi się, że człowiekowi inteligentnemu rozum nie pozwala wierzyć. Pseudonauka ogłasza przy pomocy olbrzymiej reklamy coraz to nowe teorje, które, chociaż wkrótce zostają obalone przez powagi naukowe i znikają jak efemerydy, jednak przez krótki czas swego istnienia zapadają głęboko w umysły różnych półinteligentów i mydłków społecznych.

Odpowiedzią na podobną akcję muszą być nietylko wyczerpujące dzieła naukowe, których oprócz garstki uczonych specjalistów nikt nie czyta. Prasa musi być tym organem, który dostarczy antidotum swym czytelnikom. Tu specjalnego znaczenia nabierają, cieszące się wielką poczytnością dodatki naukowe, istniejące przy szeregu dziennikach. Należy tylko baczyć, aby ogół, czerpiący z nich swą wiedzę zamiast prawdy, nie znajdował popularnie przedstawionych fałszerstw naukowych. Dość przejrzeć pewną ilość pism ilustrowanych, aby się przekonać, że są one odskocznią dla zwolenników teorji Darwina i t. p. Coraz znajdujemy piękny artykuł, który poucza o pochodzeniu człowieka. Z podanych ilustracji wyziera ohydna morda małpoluda, wylęgłego w bujnej fantazji autora.

Wogóle na prasę należy zwrócić baczniejszą uwagę. Każde pismo staje się placówką, skupiającą koło siebie ludzi podobnego kierunku i urabiającą opinję publiczną. Najlepszym przykładem mogą być „brukowce", żerujące na ciemnocie ludzkiej. Trzeba proletarjuszowi miejskiemu i wiejskiemu dostarczyć odpowiedniej lektury, którąby, stojąc na poziomie jego stanu umysłowego i upodobań, nie deprawowała go jednoczeście,

Zjazd duchowieństwa w Żyrardowie uznał, że „zła książka i zła gazeta to największy wróg ludzkości. One odbierają wiarę w Boga i wyszydzają największe i najświętsze tajemnice

wiary świętej. I kiedy w suplikacjach śpiewamy: od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie, należałoby w teraźniejszych czasach dodać i od złej książki i złej gazety zachowaj nas Panie".

Jak wielką rolę odgrywają agencje prasowe, dostarczające wiadomości dla dzienników, o tym mogliśmy się obecnie przekonać. Gdyby nie Katolicka Agencja Prasowa (K.A.P.) nie mielibyśmy należytych wiadomości o prześladowaniach w Meksyku. Należy jednak akcję rozszerzyć przez zwiększenie liczby jej przedstawicieli.

Niedoceniona jest obecnie dostatecznie sprawa kina. Co wieczór ulice miast i miasteczek toną w powodziach jaskrawych reklam przybytków dziesiątej muzy. Niestety, jednak rzesze ludzkie, szukając rozrywki, znajdują w kinach niejednokrotnie truciznę moralną i umysłową. Zwłaszcza nasuwają się poważne zastrzeżenia co do filmów wyświetlanych na przedmieściach, o treści przeważnie erotycznej, lub kryminalnej. Na ekranie przewijają się postacie wyuzdanych aktorek, lub „bohaterskich" bandytów, dokonywujących cudów waleczności i sprytu. Innym razem publiczność chłonie „fascynujące" sceny z życia dworskiego. Oto król trwoni na prawo i lewo pieniądze. Lud biedny jęczy i gotuje rewolucję, zakończoną ogólną rzezią ciemiężców. Naturalnie czasami ukaże się na którejś scenie postać przebiegłego jezuity, lub sylwetka okrutnego inkwizytora.

W rezultacie widz — analfabeta po powrocie do swej szarzyzny życiowej, w najlepszym wypadku odczuwa nienawiść do swego losu. Wszak on nawet przez cząstkę sekundy nie zazna rozkoszy życia w cudnych pałacach i słodkiem nieróbstwie.

A jednak kino może się stać czynnikiem prawdziwej oświaty. Przedziwny srebrny ekran może zapoznać „pospolitego zjadacza chleba" z cudami przyrody, techniki i sztuki. Dobry film historyczny staje się źródłem poznania danej epoki. Jeśli idzie o agitację komunistyczną, napewno skuteczniejszym od wszelkich ulotek, wieców i t. p. imprez będzie obraz przedstawiający dobrodziejstwa „raju" współczesnej Rosji. To też w akcji katolickiej o kinie zapominać nie wolno. Bierzmy przykład z bolszewików, którzy szerzą swe przekonania przez filmy.

Wyliczyłem już niektóre źródła, przez które szerzy się zaraza duchowa. Trzeba energicznie im położyć tamę, jeśli chce

się uratować Polskę od niewiary i stoczenia się na dno przepaści. Pozostaje jednak do omówienia jeszcze jedno niebezpieczeństwo—dla katolicyzmu najgroźniejsze: antyreligijny w swej większości Sejm.

U nas zainteresowanie sprawami publicznemi kraju jest nikłe. Nakład wszystkich dzienników polskich razem wziętych dorównywa zaledwie nakładowi jednego wielkiego dziennika francuskiego, a jest mniejszy od szeregu pism codziennych amerykańskich. Przy takim stanie rzeczy, głosami katolików, drogą jakiejś straszliwej nieświadomości są wybierani znani wrogowie Kościoła. Położenie jest rzeczywiście katastrofalne!

W przeszłym Sejmie w r. 1922, stronnictwa, stojące na gruncie katolickim: „Chrześcijańska Demokracja", „Związek ludowo-narodowy", „Piast", „N.P.R.", „Chrz. Narod." miały razem 281 mandatów. Stronnictwa radykalne: „P.P.S.", „Wyzwolenie" liczyły 89 posłów. Czyli, że pierwsze były prawie trzykrotnie liczniejsze. Teraz wyżej wzmiankowane partje umiarkowane mają tylko 83 m., podczas gdy „P. P. S.", „Wyzwolenie" i „Str. Chłopskie" mają aż 122, czyli dużą przewagę. To już nie porażka, to klęska. Co do Bezpartyjnego Bloku to ten zdał egzamin przy głosowaniu nad okólnikiem p. premjera Bartla, kiedy to wielu z posłów, należących do niego uznało za rzecz zbędną chodzenie młodzieży szkolnej do spowiedzi.

Narazie grupy antykatolickie Sejmu jeszcze się liczą z opinją kraju, gdyż jest w zatargu z rządem. Lecz co będzie później? Kilka miesięcy „radosnej twórczości" może wystarczyć zupełnie na oddzielenie Kościoła od państwa i wytworzenie sytuacji analogicznej do tej, jaka była we Francji przed wojną. Już obecnie sypią się wnioski lewicy o zerwanie konkordatu, o śluby cywilne, nadzór państwa nad dochodami kościelnemi i t. d.

Wobec powagi zagadnienia należy bezstronnie „sine ira et studio", zastanowić się nad przyczynami klęski wyborczej z 1928 r. Nie można wszystkiego kłaść na karb rządu i B. B. Mogło to zaważyć w poszczególnych wypadkach, lecz w żadnym razie nie mogło być przyczyną tak wielkiej porażki. Trzeba pamiętać że lista № 1 w Królestwie otrzymała 20%, na Pomorzu i Wielkopolsce tylko 10%, podczas gdy w Małopolsce Wschodniej 40%, na Kresach Wschodnich aż 50%. W takiej Warszawie najwięcej sympatyków znalazła na krańcach miasta. Czyli, że

odebrała ona głosy nie tylko listom katolicko-narodowym, lecz także i radykalnym. A jednak pierwsze wyszły zdziesiątkowane, a drugie wzmocnione. Co jest powodem tego stanu rzeczy? Moim zdaniem stosunek poszczególnych stronnictw do wyborców.

Niektóre stronnictwa narodowe idą do wyborów pod hasłem religji, potęgi państwowej pod względem politycznym i gospodarczym. Za mało natomiast poświęcają uwagi potrzebom poszczególnych stanów. Taki program ogólny możeby wystarczył w średniowieczu... Człowiek nowoczesny już nie da się „brać” na same ideały. Więcej go obchodzą cła na towary, lub ceny na zboże. Smutne, lecz prawdziwe. Zawsze się mieszkańca wsi skusi ziemią, robotnika większą dniówką, a inteligenta pensją.

Położenie ekonomiczne naszego kraju, podobnie jak i całej Eurowy, jest ciężkie. Przemysł coraz trudniej znajduje zbyt w kolonjach wobec konkurencji zaoceanicznej. W takiej sytuacji każda warstwa społeczna szuka obrony swych interesów w odpowiedniej organizacji. Zbyt wiele tą drogą zyskał proletarjat, żeby o tem zapomnieć. Widzi to inteligencja, która też stara się skupić. Coraz więcej na wybory zaczynają mieć wpływ sprawy ekonomiczne. Partje idące pod znakiem walki o poprawę bytu zyskują powodzenie. P.P.S. powiększyła ilość mandatów z 44 na 63, Chrześcijańska demokracia z 40 spadła na 15, Zw. Lud. Nar. i Chrześcijańsko Narodowa ze 120 spadły na 37. Cyfry te mówią same za siebie.

Jak rozumują przeciętni wyborcy zilustruję to na autentycznych zdarzeniach. Na wsi zeszłego roku małorolny gospodarz w ten sposób ujmował swoje credo polityczne: „Teraz głosuję na Stronnictwo Chłopskie, gdyż mam kawałek ziemi i muszę trzymać z chłopami, gdy sprzedam zagrodę, będę jako robotnik w mieście głosować na partje socjalistyczne.

Przykład logiki miejskiej: Majster krawiecki twierdzi, że na skutek uchwały cechowej głosuje na Klub Narodowy, a córce jako urzędniczce radzi głosować na listę rządową, jedynkę. Wypadki takie możnaby mnożyć w nieskończoność. Jednak ktoś może zarzucić, że tak postępują ludzie niewyrobieni umysłowo, niedorośli do wzniosłej idei parlamentaryzmu. Dobrze, a pod jakiemi hasłami poszli do wyborów ziemianie? Czy przypadkiem czynnikiem decydującym nie była reforma rolna. Okazuje się,

że klasa o blisko tysiącletniej tradycji historycznej kieruje się temi samemi wskaźnikami, co proletarjusz, świeżo upieczony na wolnego obywatela. Interesy klasowe w większości wypadków decydują w akcji wyborczej. Z tem trzeba się liczyć.

W czasach „postępu" ideały nie popłacają i nie mają zbyt wielu wyznawców. Chcąc choć w części zrealizować swój program, należy być w zgodzie z rzeczywistością. Pod tym względem ciekawe rezultaty osiągnął Mussolini we Włoszech. Zorganizował społeczeństwo w związki zawodowe, których przedstawiciele zasiadaią w parlamencie. Obok haseł politycznych, postawił twardo tezę dobrobytu materjalnego. Jakie korzyści z tego połączenia zasad programowych osiągnęła idea religji i patrjotyzmu, wszystkim wiadomo.

Wybory 1928 r. powinny nas pobudzić do zorganizowania zawodowo wsi i miasta. Należy wyrwać monopol na „obrońców ludu" socjalistom. Tak jak przed półwiekiem, niech społeczeństwo zaprzęgnie się do pracy u podstaw!

Jako katolikom niewolno nam szerzyć nienawiści klasowej. Głośmy zasadę organizacji pracy zawodowej w imię podniesienia wydajności pracy i obrony słusznych interesów przed zachłannością silniejszych warstw społecznych. Po kilkoletnich doświadczeniach ludzie będą woleli skromniejsze i łatwiejsze do zrealizowania cele, niż komunistyczne utopijne „gruszki na wierzbie". W ramach zasad katolickich niech każdy ma, co mu się należy. Robotnik i inteligent zabezpieczenie na czas choroby i starości, małorolny kawałek ziemi, wystarczający, jako warsztat pracy i t. d. Niech zabiją żywszem tętnem kółka rolnicze i stowarzyszenia rzemieślnicze, chrześcijańskie związki zawodowe i t. d.

Wielką rolę może tu odegrać młodzież wiejska i miejska. Kto miał sposobnośc obserwować Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej ten wie, jak wielki wpływ one wywierają na swych członków. Młodzieńcom zarobkującym otwierają perspektywy pracy społecznej. Dzięki nim nie jeden agitator komunistyczny, lub wysłannik sekty zamorskiej musiał zabierać swoje manatki. Z nich wyjdą przyszli przywódcy ruchu chrześcijańsko-ludowego.

Należy tylko baczyć, aby w stowarzyszeniach praca była przeplatana rozrywką. Ta zasada z dobrym skutkiem jest stosowana u socjalistów, którzy każdy wiec łączą z częścią kon-

certową. Nawet od wrogów można się czegoś nauczyć. Przeszłego roku miałem sposobność obserwowania lewicowych kół młodzieży wiejskiej w sandomierskim. Co tydzień w innej wsi urządzano zabawy, na które schodzili się nie tylko członkowie, lecz i liczni mieszkańcy okolicznych wiosek. Bilety były w cenie 50 groszy. Urządzenie imprez było bardzo tanie, a sprawiało ludziom niewybrednym wielką przyjemność. Z ogromnym zainteresowaniem odbywały się zawody sportowe: rzuty kulą, biegi i skoki (place specjalne uważane były za zbędne). Potem zabawa taneczna na świeżem powietrzu przy dźwiękach harmonji, bębna lub skrzypiec.

Mogę zapewnić sceptyków, że uczestnicy lepiej się czuli i bawili, niż dygnitarze na urzędowym balu w ratuszu. Stowarzyszenie musi być ośrodkiem, skupiającym członków nietylko dla wysłuchania, nużącego poważną treścią wykładu, lecz i dla kulturalnej rozrywki. Połączenie pożytku z przyjemnością pociągnie masy, usunie anemję z organizacji. Rozwój takich organizacji ma olbrzymie znaczenie pedagogiczne dla całego społeczeństwa. *Józef Lubicz.*

Odświeżmy stare wspomnienia...

Nie jest naszym zamiarem pisać recenzję książki kapitana Fr. Mac Cullagh'a p. t. Prześladowanie Chrześcijaństwa przez bolszewizm rosyjski (tłumaczyła z angielskiego K. Iłłakowiczówna, Kraków 1924. Nakładem wydawnictwa ks.ks. Jezuitów) Książka ta bowiem ukazała się przeszło 5 lat temu i spotkała się już z pochlebną oceną na łamach prasy polskiej i zagranicznej.

Nie możemy się jednak powstrzymać, aby nie przypomnieć naszym czytelnikom o tej nadzwyczaj interesującej książce, malującej tak barwnie i plastycznie — tak ściśle rzeczowo i objektywnie prześladowanie prawosławia i katolicyzmu w Rosji Sowieckiej w latach 1922 i 1923 i interesujący specjalnie nas Polaków proces ks. arcyb. Cieplaka, ks. Budkiewicza i ich bohaterskich towarzyszy. Książka rzucająca tak jasny snop światła na stosunki w Rosji, tak ciekawa, że, czytając ją, trudno się wprost od niej oderwać. Stanowczo, powinien ją przeczytać od deski do deski każdy inteligentny katolik w Polsce, winna się znaleźć na półkach wszystkich nas bibljotek i czytelni.

Książka ta nasuwa uważnemu czytelnikowi szereg uwag i refleksyj, z których można wyciągnąć wnioski, niekoniecznie związane bezpośrednio z Rosją Sowiecką. To bowiem, co obserwujemy w Rosji może mieć miejsce w mniejszym lub większym stopniu i w innych krajach...

Niezmiernie charakterystyczne i pouczające są dzieje walki z Cerkwią rosyjską. Wyrok śmierci na Cerkiew został w Kremlu podpisany już w r. 1918, gdy tylko bolszewizm poczuł się mocno w swoich pozycjach. Różnica zdań dotyczyła tylko metod działalności. Gdy pewna część sztabu komunistycznego chciała odrazu zastosować w całej rozciągłości zasady ateistyczne i zabronić prawnie wszystkich zewnętrznych aktów kultu religijnego w myśl popularnego hasła „Bezbożnika": „Załatwiliśmy się z carem ziemskim; teraz zabierzemy się do carów niebieskich" — pozostała część, uważając Cierkiew za trupa, który sam się w proch rozpadnie i nie chcąc utrudniać sobie sytuacji na terenie zagranicznym, wolała ograniczyć się na razie do propagandy antyreligijnej w prasie i na zebraniach publicznych oraz do systematycznego ograniczania i krępowania kultu za pomocą szykan administracyjnych.

Walka bardziej zdecydowana rozgrywa się w latach 1922/23. Cerkiew nie zostaje zniesiona, lecz opanowana przez komunizm. Snać na czele Sowietów stoją ludzie orjentujący się dobrze w nastrojach mas i znający nieco historję Cerkwi za czasów carskich, jej ścisłą tradycyjną zależność od władzy państwowej, jej uległość w stosunku do władzy świeckiej. Cerkiew zniesiona dekretem sowieckim istniałaby nadal w innych tylko formach (tak samo, jak prawo własności) i stałaby się może na długie lata ośrodkiem, skupiającym opozycję antysowiecką, zwłaszcza, że sympatje mas, przedewszystkiem wiejskich byłyby w tym wypadku niewątpliwie po jej stronie. Cerkiew natomiast, której władza została opanowana przez kreatury Sowietów, staje się raczej narzędziem podatnym w ich ręku, tracąc przytem wszystkie swoje walory moralne i narażając się z czasem na całkowitą utratę miru wśród ludu, o co właśnie chodzi czerwonym przywódcom.

I dlatego w r. 1922 wydano tak bezlitosną walkę ówczesnemu zarządowi Cerkwi z patryarchą Tichonem na czele w momencie i na terenie najbardziej dogodnym dla napastnika. Bolszewicy odznaczają się niesłychaną umiejętnością wyzyskania na

swoją korzyść wewnętrznych klęsk Rosji. Tak stało się i w tym wypadku. Klęska głodu, panująca wówczas w Rosji, posłużyła im, jako pretekst do zadania Cerkwi stanowczego ciosu. Wiadomo przecież było z góry, że dekretowi, konfiskującemu rzekomo dla głodnych wszystkie przedmioty wartościowe, znajdujące się w domach modlitwy, a więc i naczynia poświęcone, patryarcha będzie się musiał przeciwstawić ze względów kanonicznych (w kościele prawosławnym nie wolno osobom świeckim dotykać rzeczy poświęconych). Patryarcha Tichon postąpił w sposób najbardziej lojalny i ostrożny, ograniczył się tylko do zakazania duchowieństwu podpisywania protokułów, przekazywujących świeckim rzeczy poświęcane. Inaczej postąpić nie mógł. Zakaz ten jednak był dla czerwonych zbrodniarzy wystarczającym hasłem do wprowadzenia w życie dalszych części szatańskiego planu.

Konfiskata zostaje dokonana, a wszyscy duchowni, opierający się jej uwięzieni i skazani częściowo na śmierć, a częściowo na więzienie. Równocześnie ukazują się na widowni ci, którzy służą Sowietom za narzędzia do opanowania zarządu Cerkwi, którzy dla osobistej karjery zdradzili Cerkiew prawosławną, oddając ją pod panowanie Sowietów. Oto nazwiska najwybitniejszych zdrajców: Antonin, Leonidas, Krasnickij—twórcy „żywej cerkwi".

Dalsze wypadki toczą się już utartym torem. Patryarcha Tichon zostaje internowany poza Moskwę, zarząd nad Cerkwią przechodzi w ręce zdrajców, jednym słowem, jak pisze kapitan Fr. Mac Cullagh—„Cerkiew prawosławna... została opętana przez demona, który wstąpił do pałacu patryarchalnego, ogarnął swą władzą całą kościelną organizację, ujął tryby, które nią poruszają i w chwili obecnej z poza zasłony przybytku Świętego Świętych, głos tego ducha przemawia do wiernych. Jest to demon bolszewicki. Sobór cerkiewny, przezeń natchniony, który zasiadał w maju 1923 r. w cerkwi Spasa w Moskwie, oficjalnie udzielił swego błogosławieństwa bolszewizmowi, który w tej chwili posiada faktycznie sankcję kościelną". Nieco później sam patryarcha Tichon, odsunięty od władzy i przemęczony licznymi szykanami i sztuczkami oświadcza publicznie, że „przyjął w całości program sowiecki".



W tak niesławny sposób Cerkiew została pokonana i poszła w służbę czerwonego demona. Tylko tych kilkudziesięciu skazanych za opór przy konfiskacie naczyń kościelnych ratują częściowo jej opinję wobec historji.

Nie wahamy się przypominać tych faktów z przed 6 laty, sądzimy bowiem, że poza nielicznymi jednostkami, specjalnie interesującymi się tym zagadnieniem, niewielu ludzi w Polsce znalazło czas na analizę, metod walki, jakimi posługiwał się rząd sowiecki w walce o ujarzmienie Cerkwi. Sam fakt, że z wydawnictw, które ukazały się w tej sprawie na polskim rynku księgarskim, książka kap. Mac Cullagh'a, Anglika jest bodaj najdokładniejszym obrazem sytuacji—mówi sam za siebie.

Coś podobnego możnaby powiedzieć o słynnym procesie duchowieństwa katolickiego w Moskwie z ks. Arcybp. Cieplakiem i ks. prałatem Budkiewiczem na czele. Sama wiadomość o bestjalskim wyroku i o straceniu ks. Budkiewicza wywołała w Polsce odruch oburzenia, a nawet gdzie nie gdzie — manifestacje. Pozatem jednak „opinja katolicka“ szybko się uspokoiła i przeszła nad faktem do porządku dziennego. Można powiedzieć, że większość polaków nie zdaje sobie po dziś dzień sprawy z międzynarodowego znaczenia tego procesu, który rzucił snop światła nietylko na stosunki w Rosji Sowieckiej, ale na znaczenie i siłę Kościoła Katolickiego, na niespożytą energję, wierność i niezachwianość jego wyznawców, którzy w obcym kraju i wśród wrogich żywiołów, zdobyli się na stanowisko bohaterskie, tak jaskrawo odbijające od Cerkwi Prawosławnej, która zachwiała się i ustąpiła pod ciosami Sowietów. Prawdziwa duma musi ogarnąć każdego katolika, gdy przeczyta ustęp książki Mac Cullagh'a, charakteryzujący stanowisko Kościoła Katolickiego w Rosji wobec antyreligijnego systemu Sowietów:

„W tym samym—pisze objektywny protestant angielski — czasie kiedy Cziczerin oświadczył arcybiskupowi genueńskiemu, że katolicyzm w Rosji używał takiej samej wolności, jak w Ameryce, arcybiskup Ropp, metropolita mohylowski, przebywał na wygnaniu. Bolszewicy najsamprzód uwięzili go, poczem wymienili na Karola Radka, wówczas uwięzionego w Niemczech. W tym samym czasie już się zaczęły były pierwsze szykany w stosunku do arcb. Cieplaka. Trudności piętrzyły się dokoła trzech dekretów sowieckich. Pierwszy to dekret według któ-

rego dwudziestu parafjan każdego kościoła miało podpisać kontrakt dzierżawy świątyni w celach kultu, czem uznawałoby się, że prawnym właścicielem majątku kościelnego jest rząd sowiecki, czy też państwo. Drugim dekretem był dekret, konfiskujący wszelkie naczynia i kosztowności kościelne na rzecz głodnych. Wreszcie trzecim dekretem był dekret zabraniający nauczania dzieci i młodzieży religji.

Arcybiskup Cieplak, człowiek o nieskazitelnej prawości sumienia, miał mocne przekonanie, że nie wolno mu ustąpić na żadnym z tych trzech punktów. Żądał więc od księży dalszego nauczania dzieci katechizmu, zwlekał z wydaniem naczyń kościelnych, jedynych kosztowności, jakie jego kościoły posiadały i nie pozwolił podpisywać kontraktów dzierżawy na budynki kościelne, dopóki nie przyjdzie na to przyzwolenie z Rzymu. Odpowiedź stamtąd zresztą na skutek trudności stosunków ze Stolicą św., przyszła dopiero po roku. Jest godnem uwagi, że mimo pięcioletnich wysiłków nie udało się bolszewikom przeciągnąć na swoją stronę ani jednego z wiernych, już nie mówiąc o księżach.

Ta porażka bolszewików była wynikiem nietylko karności, jaka panuje w Kościele Katolickim, lub przekonania, że arcybiskup rzuciłby klątwę na każdego, ktoby wszedł w układy z bolszewikami, ale—jeszcze bardziej szacunku, jakim gminy katolickie zwykły otaczać swoich kapłanów. Ci ostatni byli jedynemi kapłanami, z wyjątkiem prawosławnych, którzy przez cały okres terroru nie opuścili swych stanowisk. Wszyscy inni — Niemcy, Szwedzi, Anglicy, Szwajcarzy ect. wyjechali. Pozostali tylko katoliccy księża, chociaż, byłoby im bardzo łatwo opuścić swe parafje i uciec do Warszawy lub Rzymu. Nie tylko zaś pozostali w Petersburgu i Moskwie, ale w każdym miejscu, gdzie w Rosji były katolickie kościoły. Kiedy w styczniu 1920 r. znajdowałem się w Syberji, wśród warunków, które na innem miejscu opisywałem, spotkałem kościoły katolickie, fukcjonujące w każdym mieście wzdłuż koleji syberyjskiej. Akolita zapalał świece na ołtarzu o wczesnym poranku, a ksiądz odprawiał tę samą mszę, która odprawiona jest codziennie w Kordyljerach, na Tapiti, w Manilli, w głębi Chin, w bazylice św. Piotra, w Notre Dame de Paris, w Londynie, na owianych burzą morską Hybrydach, Nowym Jorku, a odprawiał ją z takim spokojem, jakgdyby fale rewolucji nie biły z rykiem o mury jego kościoła.

W tej punktualności i tym spokoju czuło się wielką siłę. Przejmujące wrażenie biło od dokładności tego systemu, tak mało zależnego od ludzkiej woli, jak bieg słońca, codziennie powstającego, po nocy"...

Tenże sam wybitny publicysta angielski w swojej najdokładniejszej i najbardziej szczegółowej monografji o procesie polskich księży—kreśli w sposób zupełnie objektywny, z małą dozą uczucia i raczej z flegmą właściwą swemu narodowi—następującą sylwetkę głównego bohatera procesu ś.p. ks. prałata Budkiewicza:

„Prałat Budkiewicz, jedyny z księży, którego stracono był typem uprzejmego i zręcznego księdza, jakiego spotyka się w Kościele rzymskim stale zarówno dzisiaj, jak za czasów kardynała Wolsey i wielkich opatów. Tacy księża są równie niezbędni Kościołowi, jak jednostki ascetyczne i kontemplacyjne, a niektórzy z pomiędzy nich — jak Ambroży medjolański, Antoni florencki i Grzegorz Wielki — byli nie tylko świętymi, ale doskonałymi organizatorami i wybitnymi dyplomatami. „Dary są różne ale duch jest jeden". Wzrostu średniego i dobrej tuszy, prałat Budkiewicz najbardziej ze wszystkich obecnych w sądzie wyglądał na Anglika. Sądząc powierzchownie z cery i sposobu zachowania się, cieszyć się musiał doskonałym zdrowiem, z którem zawsze idzie w parze swoboda ruchów i łatwość wymowy. Faktycznie jednak cierpiał przy końcu życia na jakąś wewnętrzną chorobę, ktora nieraz przyprawiała go o dotkliwe bóle. Zapewne nabawił się jej był podczas strasznej zimy roku 1919 wskutek fatalnego odżywiania... Prałat miał jasne błyszczące oczy, pełną, rumianą twarz, doskonale zawsze ogoloną, cerę delikatną i bez zmarszczek jak cera dziecka, sympatyczny uśmiech i małe białe ręce. Ubrany był w dobrze skrojoną sutannę z fijoletową wypustką oznakę wyższej godności, maniery miał bardzo wykwintne i wyglądał na człowieka skrupulatnie czystego. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast, niż ten, jaki zachodził pomiędzy tym księdzem a brudnymi, długowłosymi bolszewikami, zasiadającymi w sądzie i obecnymi na sali, lub nawet tą częścią rosyjskiej arystokracji, która pozostała w Moskwie, a która swym zaniedbanym wyglądem daje świadectwo rozpaczy nad ruiną świata, do jakiego należała w przeszłości. Ks. Budkiewicz wyglądał na człowieka, którego świat

nietylko nie rozpadł się w gruzy, ale nawet nie zadrżał w posadach. Wydawał się być równie pewien swych zasad i równie mało skłonny do jakichkolwiek kompromisów z przejściowem szaleństwem otoczenia, jak gubernator angielski na Złotym Brzegu, któremuby zaproponowano, aby złożył hołd fetyszów i zaczął chodzić nago w opasce na biodrach.

Od pierwszego wejrzenia, jakie rzuciłem na ks. Budkiewicza, zrozumiałem, dlaczego doprowadzał bolszewików do takiej furji, że nic oprócz śmierci jego nie mogło ich zadowolić. Był on nietylko sam niewzruszony, ale (zdaniem bolszewików) jego stanowisko udzielało się innym. W sposobie zachowania się — jak na Słowianina — niezmiernie chłodny i skąpy w ruchy; mówiąc nie robił gestów i nie poruszał się zupełnie. Pomimo to, w rozmowach prywatnych wykazywał dużo humoru.

Okoliczności zmusiły go do panowania nad sobą, lecz w jakiś niewytłomaczony sposób wyczuwało się, że mógł był przeszyć bolszewickie teorje satyrą, ostrą jak szpada. Jest to prawdziwa ironja losu, że o „Leninizmie" piszą i mówią prawie wyłącznie cudzoziemcy, którzy nic o nim nie wiedzą, lub Rosjanie, których długi pobyt zagranicą pozbawił znajomości rzeczy. Ten zaś wybitny człowiek, znający nawskroś czerwoną Rosję, zrazu nie mógł się na ten temat wypowiedzieć, potem zaś zginął od kuli oficjalnego mordercy i nic objawić światu nie zdążył.

Głos jego brzmiał bardzo subtelną ironją, kiedy robił wzmianki — a czynił to kilkakrotnie w ciągu procesu — o wielkich i znakomitych zasadach wolności wyznania, które rząd bolszewicki ogłosił urbi et orbi w 1918 r. i zwracał uwagę na wewnętrzne sprzeczności, jakie zawierają się w dekretach sowieckich. Mógł był zresztą na ten ostatni fakt położyć znacznie większy nacisk, gdyż prawodawstwo bolszewickie jest jednym stekiem sprzeczności, a nawet zwykłe statystyki, ogłaszane przez różne urzędy sowieckie, zawierają błędy w dodawaniu, które jednak byłoby niebezpiecznie wytykać.

Możnaby przypuszczać, że tego rodzaju przedstawiciel Kościoła wygłaszać zwykł był pełne erudycji odczyty i subtelne kazania. Wbrew jednak spodziewaniu, kazania, jakie ks. Budkiewicz miewał co niedziela w kościele św. Katarzyny, bywały zawsze bardzo proste i traktowały specjalnie o miłosierdziu

chrześcijańskiem. Kiedy w czasie odczytów w sali przy kościele przerywano mu ze strony nie katolików ks. Budkiewicz zawsze traktował swych oponentów z całą łagodnością i wyrozumiałością... Ks. Budkiewicz, będąc człowiekiem pochodzenia szlacheckiego i wysokiego wykształcenia, pozostał dobrowolnie w Piotrogrodzie, nie chcąc opuścić biednych robotników i ich rodzin, podczas gdy różni polscy książęta, generałowie, piękne damy i „inteligencja" opuścili miasto, narówni z zagranicznymi dyplomatami i kupiectwem. W ciągu trzydziestu lat swej kapłańskiej pracy, przeważnie przebywał wśród ubogich, nie tylko ucząc religji i czyniąc miłosierdzie, lecz podnosząc swe owieczki narodowo i społecznie. Mówiąc o narodowości, mam na myśli narodowość polską, bo ks. Budkiewicz przez całe życie był szczerym i gorącym polakiem. W szkołach które zakładał w Piotrogrodzie, tysiące dzieci kształciły się na dobrych obywateli i katolików. Kierując się patrjotyzmem i w przekonaniu, że rosyjski system wychowania szerzy demoralizację, księża nie wychowywali dzieci polskich na Rosjan.

Ks. Budkiewicz starał się także o podniesienie społecznego, umysłowego i politycznego poziomu uboższych z pośród swych parafjan, a większość ich należała do warstw pracujących. Czynnie popierał tę wspaniałą instytucję, mającą na celu popularne nauczanie, Macierz Szkolną. Dzięki jego pracy powstała Chrześcijańska Demokracja wśród mas pracujących w Rosji i głęboko zapuściła korzenie. Był patronem i opiekunem wszystkich polskich stowarzyszeń dobroczynnych, jakie w ciągu dwudziestu lat w Rosji powstały. Jedno z nich, któremu interesował się w szczególniejszy sposób, miało za zadanie wyławianie z ulic piotrogrodzkich żebraków polskiej narodowości i koncentrowania ich w specjalnym przytułku przy kościele, gdzie badano ich potrzeby i udzielano skutecznej pomocy.

Ks. Budkiewicz nie był ciasnym nacjonalistą, czego zresztą dowiódł wyraźnie przez swą kapłańską działalność. Zaraz po wybuchu rewolucji bolszewickiej, zaprowadził w Kościele św. Katarzyny kazania w języku rosyjskim. Kazania odbywały się raz w tygodniu i miały dać dowód nawróconym Rosjanom, że religja katolicka nie jest bynajmniej monopolizowana przez Polaków.

Ks. Budkiewicz urodził się w 1867 r., otrzymał święcenia w 1893 r., został proboszczem kościoła św. Katarzyny w 1906 r., prałatem w 1918 r. Był honorowym kanonikiem mohylowskim i członkiem Rady Administracyjnej diecezji mohylowskiej. Był jednym z najwybitniejszych katolików w Rosji i kierował parafją, która od dawnych lat była ośrodkiem katolickiego ruchu w tym kraju. W czasie wojny piastował godność wiceprzewodniczącego Polskiego Komitetu pomocy Ofiarom Wojny. Widzimy więc jak bogatem było żniwo jego życia. Niezadługo po zagarnięciu władzy, bolszewicy zmiarkowali, że ten grzeczny i dobrze wychowany ksiądz jest de facto prowodyrem całej opozycji — legalnej zresztą — jaką przeciwstawił nieprawdopodobnym dekretom sowieckim kler katolicki w Piotrogradzie. Wówczas zaczęto go tak prześladować, iż musiał jakiś czas ukrywać się w przebraniu świeckiem. Nastąpiła przerwa, która trwała aż do końca roku 1922, kiedy piotrogrodzcy bolszewicy postanowili za wszelką cenę zgubić ks Budkiewicza. Udało się im w zupełności doprowadzić te zamiary aż do krwawego końca, lecz nie daną im była satysfakcja oglądania strachu ani bladości skazanego, nawet w chwili, kiedy mu odczytano wyrok śmierci"...

Co za piękna biografja: krótka, objektywna i rzeczowa, dająca równocześnie i analizę i syntezę postaci. Uderzmy się w piersi. Czy znalazł się w Polsce publicysta, który podałby nam dokładniejszą sylwetkę tej postaci!

A przecież katolicyzm Polski może być dumny z ś. p. ks. Budkiewicza i winien czcić stale Jego bohaterską postać, jako wzór do naśladowania dla młodego pokolenia, jako żywy dowód szlachetności i tężyzny ideałów, które znalazły takiego męczennika.

Zaiste, wielki jest Kościół, który ma takich wyznawców. Jeśli czcimy słusznie w akademjach, pomnikach i publikacjach bohaterską postać ks. Skorupki, który zginął z krzyżem w ręku na polu chwały, zagrzewając wojska do walki z wrogiem Chrystusa i Narodu—z równą słusznością i uzasadnieniem winniśmy pamiętać o drugim kapłanie — bohaterze, który, znajdując się w samej paszczy czerwonego Molocha, nie zachwiał się ani na moment w swojej wierności i odwadze, lecz zginął ofiarnie na posterunku szczytnej pracy katolicko-społecznej i narodowej.

Pozbawiony był nawet pogrzebu chrześcijańskiego. Nad grobem jego nie zagrzmiały zaszczytne salwy plutonu honorowego, ani wojskowe fanfary, głoszące pośmiertny tryumf bohatera, zginął gdzieś w lochu ciemnym, zamordowany skrytobójczą kulą...

Tem większy jest wieniec jego zasługi wobec całego Chrześcijaństwa, a szczególnie katolicyzmu polskiego.

S. J. K.

Idea morska w Polsce odrodzonej.

Czasy wzmagającej się coraz silniej ekspansji morskiej, jakie rozpoczęły się w pierwszej połowie XVIII-go stulecia, zastały Polskę w okresie upadku, a potem niewoli. Naród, przygnieciony potrójnem jarzmem zaborców, musiał wytężać wszystkie siły na nieubłaganą walkę o wiarę, język i, wreszcie, ziemię. Zagadnienie morskie zasnuło się zupełnie mgłą.

Tymczasem w wieku XIX-ym zaczęła święcić swe pierwsze triumfy zasada tworzenia państw narodowych w postaci zjednoczenia się Niemiec, scalenia Włoch i wskrzeszenia Bułgarji, Serbji i Grecji. Świeżo powstałe, lub zmartwychwstałe państwa szybko stawały na arenie zapasów ekonomicznych. Olbrzymie znaczenie morza, tej najdogodniejszej i najtańszej arterji komunikacyjnej, występowało w tych zapasach w całej pełni. Rozpoczynał się w dziejach ludzkości nowy okres „oceaniczny", trwający dotychczas.

To znaczenie morza, stanowiącego nieodzowny czynnik w niezależności ekonomicznej, a co za tem idzie, i politycznej, nie mogło ujść uwagi tych nielicznych światlejszych umysłów w Polsce, jakie się zajmowały podówczas zagadnieniami politycznemi, dążąc jako do ostatecznego celu, do odzyskania niepodległości. Wśród tych ludzi na pierwszem miejscu postawić należy w końcu XIX-go stulecia: Jana Popławskiego, ucznia jego i następcę wśród prawicy, Romana Dmowskiego, a z przywódców lewicy Bolesława Limanowskiego. Niezależnie od różnic w przekonaniach politycznych, jakie dzieliły pierwszego i drugiego od trze-

ciego, wszyscy trzej głosili, iż podstawą niezależności jest zjednoczenie dzielnic rozbiorowych, i wszyscy trzej zwracali przedewszystkiem uwagę na zabór niemiecki, rozumiejąc pod nim nietylko Poznańskie i Śląsk, lecz również Pomorze, oraz część Prus Wschodnich.

W tym samym mniejwięcej czasie rozpoczął opracowywanie swych dzieł historycznych o dawnem polskiem zagadnieniu morskiem Adam Szelągowski. Prace jego: „Walka o Bałtyk" i „Wielka Wojna Pruska" budziły zainteresowanie w kołach naukowych i nasuwały refleksje.

Jednocześnie prawie powstała w Polsce nowa kwestja, ściśle związana z zagadnieniem morskiem, — wychodźctwo do Brazylji i Stanów Zjednoczonych. Przeważająca większość inteligentnego ogółu widziała w niem jedynie ogałacanie kraju z żywiołu polskiego, a rzadko komu przyszło do głowy, że owe rzesze emigrantów, przy zmienionych warunkach politycznych, mogłyby się stać nietylko rozsadnikami polskości w krajach zamorskich, lecz i pionierami w zdobywaniu odległych rynków zbytu dla naszego przemysłu i handlu.

Mimo jednakże tych przebłysków świadomych i mimowolnych idea morska była w zupełności obca dla szerokich mas inteligencji, nie mówiąc już o reszcie narodu. W takim też stanie zastała tę ideę w Polsce Wielka Wojna Światowa i wskrzeszenie Rzeczypospolitej.

Jak powszechnie wiadomo, rozwój idei morskiej, t. j. wyzyskanie morza pod względem komunikacyjnym (podróże) i eksploatacyjnym (rybołóstwo) zależy od trzech warunków:

1) położenia geograficznego danego kraju; innemi słowy, aby posiadał on granice morskie;

2) charakteru jego wybrzeża morskiego; mianowicie, aby to wybrzeże było z jednej strony dostępne do morza, posiadając dogodne porty, a z drugiej, aby było dobrze połączone siecią dróg z resztą kraju, który tworzy w tym wypadku tak nazywane „zaplecze" owego wybrzeża (niem. Hinterland);

3) ludności; rzecz jasna, iż liczna, przedsiębiorcza, rdzennie narodowa, a przytem zwiększająca się ludność zarówno na samem wybrzeżu, jak i w reszcie kraju pomaga rozwojowi spraw morskich, które potrzebują licznego, energicznego i narodowo usposobionego zespołu.

Odrodzona Rzeczpospolita odzyskała wąski pasek wybrzeża morskiego, nie posiadający, poza przyznanym jej połowicznie zniemczonym Gdańskiem, ani jednego portu we właściwem tego słowa znaczeniu, ale odzyskała Pomorze, najściślej zespolone geograficznie, etnograficznie i orograficznie z resztą macierzy i posiadła liczną, spragnioną niepodległości i zwiększającą się po pół miljona głów rocznie ludność.

Na pomoc rozwojowi idei morskiej wystąpiły dwa zdarzenia: wojna z bolszewikami 1918—21 r. i strajk górników w Anglji. w 1926 r. Pierwsze z tych zdarzeń, kiedy niepodległy byt odrodzonej Polski wisiał na włosku, unaocznił ludziom, że jedyną pewną arterją komunikacyjną dla dowozu zaopatrzenia wojennego, idącego od naszych sprzymierzeńców z Zachodu, i dla nadejścia możliwej pomocy jest droga morska, a nie kolejowa, wiodąca przez obce kraje i od tych krajów uzależniona. Drugie znów pokazało, że morzem najłatwiej i najtaniej przewozić nasz węgiel i zawojowywać w ten sposób rynki bałtyckie, skandynawskie, a nawet algieryjskie i egipskie, gdzie doniedawna panował niepodzielnie węgiel angielski. Od roku też 1926 datuje się w Polsce nowy, a stanowczy zwrot w dziedzinie zagadnień morskich.

Zagadnienie morskie składa się z trzech czynników:

1) wytwórczości danego kraju, która dostarcza przedmiotów na wywóz zamorski;

2) żeglugi, tworzącej linje okrętowe, któremi odbywa się wywóz;

3) kolonij zamorskich, będących rozsadnikami zbytu zarówno towarów wywożonych, jak i emigracji oraz rynkami podaży tych surowców, które są niezbędne dla wytwórczości kraju macierzystego.

W Polsce odrodzonej, po doświadczeniach wojny bolszewickiej i strajku angielskiego, rząd i społeczeństwo przystąpiły zgodnie do otoczenia opieką wszystkich trzech czynników, o których mowa powyżej.

Przedewszystkiem wzięto się do należytego wyzyskania przyznanego nam wybrzeża, budując nowy port w Gdyni, rozszerzając istniejący w Tczewie i przeprowadzając nowe linje kolejowe, łączące odzyskane Pomorze z resztą Polski, a głównie ze śląskim śpichlerzem węglowym. Z kolei rzeczy zainteresowano się Gdańskiem i umiejętną polityką wciągnięto go w orbitę gospo-

darczą polską. Następnie stosowaniem ulg kolejowych skierowano cały prawie nasz ruch zamorski, odbywający się dotychczas przez porty niemieckie Bremę, Hamburg i Szczecin, na nasze porty: Gdynię i Gdańsk.

W dziedzinie żeglugi przystąpiono do tworzenia marynarki wojennej i handlowej. Pobite Niemcy musiały wydać dywizjon torpedowców, zakupiono w Danji i Finlandji kanonierki i trawlery, a we Francji zamówiono konr-torpedowce i łodzie podwodne. Uruchomiono polską flotę handlową przez powstanie rządowego przedsiębiorstwa żeglugowego pod nazwą: „Żegluga Polska". W krótkim czasie powstały towarzystwa prywatne, jak Polsko-Brytyjskie i Polsko-Skandynawskie. Personelu fachowego jęły dostarczać szkoły w Toruniu (wojskowa) i w Tczewie (handlowa).

Sprawy kolonjalne rozłożono na daleką metę. Przedewszystkiem uporządkowano zagadnienia emigracyjne przez utworzenie specjalnego państwowego urzędu emigracyjnego, który zajął się odpowiedniem skierowywaniem emigracji, głównie do Brazylji, a ostatnio do Peru. W Peru rząd i towarzystwa prywatne zakupiły dochodzące do miljona hektarów obszary, przeznaczone wyłącznie dla polskich wychodźców. W ten sposób rzesze emigrantów będą pracowały w dużych skupieniach i na ziemi, stanowiącej własność polską.

Zrozumienie zagadnienia morskiego nie dało na siebie długo czekać. Wywóz morski, wynoszący parę procent zaledwie w ogólnym wywozie Rzeczypospolitej w 1924 r., dosięgnął w 1928 r. prawie 40%. Za węglem drzewo, cement, cukier i artykuły żywnościowe polskie zjawiły się na statkach pod polską banderą nietylko w portach bałtyckich, lecz nawet włoskich, francuskich i afrykańskich. Nowe ożywcze tchnienie, tchnienie wiatru od morza przeciągnęło nad odrodzonem państwem, wskazując mu drogę do dalszej potęgi i chwały.

Inż. Witold Hubert.

Ś. p. ks. dr. Karol Sonnenschein.

Nawiązując do naszego artykułu o przedwojennym ruchu społecznym w Niemczech (cf. Pro Christo, luty 1929), wypada nam obecnie zanotować śmierć jednego z czołowych działaczy społecznych katolickich Niemiec, ś. p. ks. dr. Karola Sonnen-

scheina. Pozwolimy sobie podać poniżej notatkę pośmiertną z wiedeńskiego tygodnika „Schönerc Zukunft", nr. 22 z 3 marca 1929 r. Czytamy tam na str. 467/8:

„Dnia 20.2.29 umarł w Berlinie wybitny katolicki duszpasterz i organizator, ks. dr. Karol Sonnenschein. Urodził się w roku 1876, jako dziecko nadreńskiej rodziny robotniczej. W roku 1900 otrzymał święcenia kapłańskie, poczem rozpoczął w Elberfeldzie swą praktykę duszpasterską. Niebawem brał żywy udział w pracy, jaką nad katolickiemi Niemcami roztaczał t. zw. Volksverein, a w roku 1906 widzimy ks. S. w München — Gladbach na stanowisku kierownika Sekretarjatu Społ. Pracy Stud. („Sekretariat sozialer Studienarbeit"), którego celem ostatecznym było stworzenie porozumienia między robotnikiem a akademikiem. Przed wojną zakładał ks. Sonnenschein przeszło 300 związków wakacyjnych, urządził pokaźną ilość kursów naukowych dla robotników, organizował mnóstwo wystaw i ponad 40 centrali Społecznej Pracy Stud. Organem jego wybitnej ruchliwości były „Soziale Studentenblätter". W czasie wojny, za pośrednictwem tego czasopisma jak i różnych ulotek, pozostawał ks. S. w ścisłej łączności z około 8000 akademików — zwolenników tego ruchu, będących na froncie. W roku 1918 zmarły objął Sekretarjat Społ. Pracy Stud. w Berlinie, pracując równocześnie całym wysiłkiem nad utworzeniem skutecznego, wpływowego duszpasterstwa wielkomiejskiego. Organizował parafje berlińskie, stworzył z czasopisma: „Berliner Kirchenblatt" wzorowy tygodnik katolicki, pod względem formy i skuteczności do dziś niedościgniony, ufundował wreszcie wspaniały, sprawny system opieki społecznej. Dziennie podobno czterdziestu przychodziło do ks. S. takich, co szukali pomocy, a dla każdego z nich miał gotową pomoc specjalną, osobistą, bez względu na stan i przekonanie biednego. Nie mniej znaczenia posiadała działalność ks. Sonnenscheina jako kaznodziei, jako mówcy porywającego i pisarza. Jego „Weltstadt betrachtungen", znane „Notizen", drukowane po raz pierwszy w Berliner Kirchenblatt, ukazały się w szeregu osobnych zeszytów i rozeszły się dotąd w 110.000 egzemplarzy. W tych to, może aż zbyt zwięzłych szkicach, o stylu prawie że telegraficznym, występuje jasno duch i myśl duszpasterskiej działalności ks. Sonnenscheina. Jako duszpasterz chciał on się przeciwstawić demonicznym trudnościom nowocze-

snego życia wielkomiejskiego, ale przeciwstawić się ze skutkiem, uznawał wszelkie środki nowoczesnej techniki i dzisiejszego systemu organizacyjnego, począwszy od kartoteki a skończywszy na lotnictwie, byle tylko dopiąć celu. A jednakże, skonstruowany przezeń aparat, tak dokładnie przemyślany ale i tak skomplikowany, nie przewyższał nigdy jego chrześcijańskiej osobistości. I to tylko pozwala nam zrozumieć ową głębię skuteczności jego poczynań, których nadludzkie wysilenia żądały ostatecznie ofiary jego cennego życia".

Świetne wspomnienie pośmiertne ku czci zmarłego działacza katolickiego napisał w numerze 23 „Shönere Zukunft" (z 10 marca 29) wydawca tego tygodnika, dr. Józef Eberle w artykule „Rosen auf einem Priestergrab. Zum Ableben des Studenten— und Grossstadtseelsorgers Dr. Carl Sonnenschein".

A. F. Kowalkowski.

Posiadający, a kwestja robotnicza.

Jedną z podstaw, na których powinna się, według socjologji chrześcijańskiej, wspierać, kwestja robotnicza, jest współpraca klas. „Przez nawoływanie stanów (robotników i przemysłowców) do wypełnienia obowiązków wzajemnych" przez stanowcze, a życiowo i naukowo uzasadnione twierdzenie, że „nie może istnieć kapitał bez pracy, ani praca bez kapitału". Papież Leon XIII w „Rerum nowarum" stwierdza wielokrotnie, że warunkiem normalnych i owocnych stosunków pomiędzy pracą, a kapitałem jest współpraca ku pożytkowi ogólnemu. W zasadniczej z tem sprzeczności staje „nauka" socjalistyczna, opierająca swój byt na materjalistycznej walce klasowej. Wcześniej zabrawszy się do podboju warstwy robotniczej, socjalizm jest jeszcze na tym terenie dość silny. Lecz wystarczy, aby na krótki czas sam, bezpośrednio, lub przez zbliżone do siebie grupy, miał możność zailustrowania swych zasad w życiu społeczno-gospodarczem, aby wszędzie, przez swą pracę, zdziesiątkował własne szeregi. Przykłady mieliśmy i w Polsce. Żeby więc wyznawców socjalizmu gruntownie i bezapelacyjnie do własnej idei zrazić, wystarczyłoby zgodzić się nawet na krótkie, lecz powszechne, państwowe lub samorządowe kierownictwo socjalistów. Suche cyfry wskazują, że naj-

mniej socjalistów, w stosunku do ogółu ludności jest w Rosji. Lecz podobna lekcja poglądowa zbyt dużo kosztuje, by kraj kulturalny mógł sobie na nią bez obawy złych skutków pozwolić. Łatwy do przewidzenia wynik praktyczny urzeczywistnienia w życiu doktryny marksowskiej zmusił co lepsze żywioły do walki wszechstronnej z założeniami socjalizmu, występującego, czy to w postaci rewizjonizmu, czy komunizmu. Praktycy społeczni podjęli walkę z ideą walki klasowej na terenie pozytywnej pracy, zmierzającej do rozwiązywania kwestji socjalnej, której celem jest uwłaszczenie pracujących przy niezmniejszonej produkcji, a środkiem obrona robotnika przed wyzyskiem i współpraca klas. Przedmiotem kwestji robotniczej jest robotnik. O niego zaczęła się toczyć i nadal się toczy walka pomiędzy socjalizmem, a chrystjanizmem społecznym. Obóz współpracy klas coraz liczniejszych zyskuje wśród mas robotniczych zwolenników, a chrześcijańska myśl społeczna szerzy się i gruntuje. Praca zwalczająca barbarzyństwo duszy i umysłu niejednokrotnie zbawienny plon już wydała. Polska nie jest poza nawiasem tego zjawiska. U nas jest to zasługą młodego ruchu chrześcijańsko-demokratycznego, za którego przykładem ostatnio idzie cały obóz narodowy, deklarując, że „nietylko przedsiębiorca, ale także robotnik jest współwytwórcą i współdziałającym". To obowiązuje także i przy podziale dochodów, których wysokość w przyszłości nie będzie mogła, jak dotąd utrzymywać się w tajemnicy. Zadania są ogromne, a siły szczupłe. Wyzwolenie całkowite robotników nie będzie dziełem samych robotników i sprzymierzonej z nimi coraz liczniejszej inteligencji. Pomoc szersza jest niezbędna. Dotychczas można było zrobić tylko część zaledwie i w miarę sił organizować robotników, bronić przed wyzyskiem i nastawiać psychicznie do współpracy klas. Robotnik stoi z wyciągniętą do współpracy ręką, gdy posiadający trzymają swoje jeszcze w kieszeni. Sytuacja jest więc niepokojąca i szkodliwa, socjalistom tylko pomagająca. Druga strona także musi przystąpić do dzieła. Hasło współpracy klas musi się wypełnić treścią i obowiązywać nietylko robotników. Można było od nich zacząć, ale na nich skończyć — nie można. Są już dość liczne chrześcijańskie związki zawodowe robotnicze, ale i przez lunetę patrząc niesposób dostrzec choćby zaczątków chrześcijańskich organizacji posiadających. Istnieje polityka chrześcijańska, ale adeptami jej

są tylko robotnicy. Gdzie są —zapytać wypada—katolicy społeczni wśród przemysłowców, ziemian, kupców. lub bankierów? Gdzie zorganizowany ich czyn społeczny? gdzie wcielają oni głoszoną przez siebie współpracę z robotnikiem? Chrześcijańska akcja społeczna, to nie straż ogniowa, jak wielu mniema, przeciwko socjalistom, to znacznie coś więcej. Lecz i tego pośredniego nawet zadania obóz chrześcijański nie spełni, w całej pełni jeżeli nie znajdzie pomocy wśród lepiej sytuowanych materjalnie grup i jednostek. Jakież tedy istnieje rozwiązanie? Musi powstać szereg organizacji, katolików posiadających, którzyby chcieli i umieli prowadzić chrześcijańską politykę społeczną t. j. inicjować reformy, zwalczać wyzysk pracy, dać większą płacę, niż strajkiem wywalcza ją robotnik, aby w ten sposób realizować aksjomat chrześcijańskiej polityki ekonomicznej: współpracę klas i stwierdzać czynem, że jest ona nie hasłem przeciwsocjalistycznem, lecz pierwszorzędną zasadą życia społecznego. Dziś kapitał ustępuje. Czy nie lepiej byłoby więc, gdyby ustępstwa inicjował, a nie pod przymusem czynił im zadość? Wtedy osobiste rezultaty produkcyjne staną się pewniejsze, a produkcja narodowa skuteczniejszą będzie miała pieczę. Oczywiście robotnicy muszą współdziałać, żeby produkcyjność i rentowość kapitału nie uległa przez to zmniejszeniu. Posiadający powinni rozważyć słowa Leona XIII, że bynajmniej „nie pozostawiono im tego do woli, czy zająć się dolą warstw niższych, czy też o nią nie dbać, ale w tym względzie wiąże ich ściśle obowiązek. W społeczeństwie bowiem nie żyje nikt dla swojej tylko, lecz dla wspólnej wszystkim korzyści, tak dalece, że w czem jedni do dobra ogółu w odpowiedniej mierze przyczynić się nie mogą, w tem inni, których stać na to, tem hojniej przyczynić się muszą". Tego wymaga również interes własny klas posiadających, które nie mają żadnych praw do szczególnych przywilejów i wyróżnień, oprócz „możności skutecznego i bardziej ułatwionego służenia społeczeństwu",—zaś „ich prawa do kierownictwa sprawami społecznemi mierzy się wartością ich zasług". Chrystjanizm społeczny spełnia swe wielkie zadanie częstokroć wbrew woli patentowanych katolików.

Ale opór ten jest objawem nienormalnym i niemoralnym. Musi on więc być zlikwidowany, a im prędzej to nastąpi tem lepiej wyjdą na tem zainteresowani. W wysiłkach obozu chrze-

ścijańsko-społecznego ku rozwiązaniu zagadnienia społecznego wogóle, a stosunków wzajemnych pracy i kapitału w szczególności, posiadających zabraknąć nie powinno. *M. B.*

Sumienie i złoto w polityce.

Od kilku lat ludzkość jest świadkiem potwornych prześladowań religijnych w Meksyku. Zdawało się, że niema człowieka kulturalnego, któryby owych wypadków nie uważał za hańbę naszego wieku. Niestety, w ostatnich tygodniach dowiedzieliśmy się, że najpotężniejsze państwo na świecie, Stany Zjednoczone, poparły krwawych tyranów i ślą im amunicję, samoloty, a nawet pociągi pancerne. Naród, szczycący się umiłowaniem wolności, uważał za właściwe stanąć po stronie siepaczów Callesa. Wiecznie nienasycony „Wuj Sam", pomimo iż dusi się w nadmiarze złota i ma go tyle co reszta świata, postanowił jeszcze raz na wojennych dostawach zarobić. Chciwość zatryumfowała nad sumieniem. Powstanie dzięki interwencji zagranicznej dogorywa.

W wolnej Ameryce wiele się zmieniło od czasów wielkiego Franklina. Ideały wolnościowe zmieniono na brzęczącą, lub szeleszczącą monetę. Interes stał się bogiem, giełdy świątyniami, a bankierzy kapłanami.

Wobec wypadków meksykańskich stają we właściwem świetle ci nowocześni faryzeusze—rozmaite organizacje pseudoliberalne—które miały odwagę w 1919 r. państwu naszemu przesyłać protesty przeciw nieistniejącym pogromom. Dorobkiewicze przywdzieli togi katonów i zaczęli dawać lekcje humanitaryzmu i tolerancji. Usłyszeli wówczas wrzask kilku żydów, którym obcięto brody; dziś nie słyszą jęków tysięcy mordowanych w bestjalski sposób; podobnie jak nie chcieli nic wiedzieć o miljonach ofiar sadyzmu bolszewickiego.

Czyżby sądzili, że inna moralność obowiązuje narody, a inna jednostki. Wszak potępiają pojedyńcze zabójstwa, popierają zaś mordy masowe, o ile łączą się z nimi sute zarobki. Czyżby podobne postępowanie zgadzało się z pojęciem honoru „gentelmanów".

Szumne hasła patrjotyczne i humanitarne stają się tylko szyldem, pod którym czają się apetyty różnych królów naftowych, cynkowych i t. p. wampirów społecznych.

Nie wierzymy, aby ogół obywateli wielkiego narodu amerykańskiego hołdował takim zasadom. Fakt jednak, że największe wpływy posiadają właśnie tacy i że oni nadają ton polityce Stanów Zjednoczonych jest smutnym i znamiennym przejawem czasów dzisiejszych.

Józef Lubicz.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Adolf Retté.

II.

W samotnych przechadzkach po lesie czyta Dantego Boską Komedję. Czyta rozdział o czyścu, drugą pieśń, w której Dante i Virgili opuszczają piekło i zatrzymują się na brzegu tajemniczego morza u stóp Czyścowej Góry.

„Widziałem, mówi Dante, widziałem jasność, biegnącą z szybkością, której nie wyrówna lot żadnego ptaka. Gdy odwróciłem od niej moje oczy, ażeby spojrzeć na przewodnika mego i gdy je znów na nią zwróciłem, ujrzałem ją wyolbrzymioną i bardziej błyszczącą. A potem z obu stron owej światłości wyłaniać się poczęła jakowaś białość. Mistrz mój milczał, dopóki białość owa nie przybrała kształtu skrzydeł. Gdy rozpoznał przewoźnika łodzi, wykrzyknął: „zegnij, zegnij kolana, patrz, oto Anioł Boży! Złóż ręce—odtąd takich posłańców Boga widywać będziesz. Patrz, jak gardzi dziełami ludzkiemi! Ni wioseł ni żagli mu nie potrzeba, wystarczą mu skrzydła do przemierzania tych dalekich brzegów. Patrz, jak rozpościera je ku niebu, patrz, jak bije powietrze nieśmiertelnemi pióry. Im bardziej ten Boży Ptak do nas się zbliżał, tem bardziej zdawał się olśniewającym tak, że spuściłem wzrok niezdolny do wytrzymania tej wspaniałości. U steru łodzi stał wioślarz niebiański—promienny chwałą—a w łodzi z jakie sto dusz się mieściło. Wszystkie one, ra-

zem, zgodnie śpiewały psalm „In exodu Israel de Aegypto". A potem—Anioł uczynił znak Krzyża i wszystkie te dusze na brzeg się rzuciły. A on odszedł tak jak był przyszedł." Dante chciał tu przedstawić radość wiernych dusz, cieszących się tem, że w czyścu z win swych się oczyszczą i zasłużą na wieczne szczęście.

Obraz ten, olbrzymie wrażenie wywiera na naszym biednym niedowiarku-poecie. Jakieś niezmierne światło go oświeca. Dziwny niepokój owłada duszą. Pytanie: „A może Bóg istnieje" natrętnie powraca.

W rozmowie z przyjacielem, w zapatrywaniach swych przechylającym się ku katolicyzmowi, odnajduje swoje własne dręczące niepewności — ale zamiast skorzystać ze sposobności i wyjawić je tej przyjaznej duszy, zaczyna bluźnić i występować przeciw religji, wiedziony jakimś wewnętrznym przemożnym *przymusem.* Nie dość na tem, że utrwala przyjaciela w jego dawnych uprzedzeniach do Katolickiego Kościoła, ale jeszcze pisze bardzo zjadliwy i bluźnierczy artykuł przeciw Kościołowi.

Tejże samej nocy ma sen, a w nim wizję dantejskiego czyśca. W śnie tym znalazło się wszystko to, o czem czytał w nieśmiertelnej poezji Dantego. Morze szerokie, o błyszczących falach i góra czyścowa, której szczyt gubił się w tęczowej mgle —przez którą przenikały złote światła. Anioł rozwijający swoje skrzydła białe, łódź pełna dusz śpiewających psalm wyzwolenia. A dwaj poeci Dante i Virgili zwracali nań spojrzenia pełne nieskończonego smutku — podczas gdy rozbrzmiewały dźwięki muzyki, podobnej do szmeru wiatru pomiędzy drzewami. Serce biło mu przyspieszonem tętnem—parę chwil rozmyśla nad pięknością snu—wreszcie wielki wewnętrzny szloch rozpiera mu duszę. Jakby pod wpływem koniecznego, władczego nakazu, wyskakuje z łóżka, biegnie do biurka, porywa wczoraj napisany bluźnierczy artykuł i drze go w strzępy. Wreszcie powiada sobie: „wrócę do lasu i tam pośród świeżych leśnych powiewów, które tylekroć niosły mi osłodę, pośród okrytych kwieciem krzewów, zbadam duszę moją. Jeśli odkryję, że ona wierzyć pragnie—przysięgam—że bronić jej tego nie będę". W tejże chwili uczuwa spokój, wielka radość przepaja mu serce —i spokojnym usypia snem.

Szlachetne umiłowanie piękna i natury przygotowywało duszę na przyjęcie Łaski. Pod cieniem drzew ukochanego lasu—robi

rachunek sumienia dotychczasowych wierzeń swoich—słyszy *wewnętrzny* głos, że pozostaje mu tylko Bóg. Rozmyśla o Kościele, o jego trwałości, zaczyna rozumieć, że tylko nadprzyrodzony pierwiastek ożywia ten Kościół i zarazem pomimo tylu walk i prób prześladowań i zepsucia nawet niektórych jego ministrów czyni go niewzruszonym.

Oddycha z ogromną ulgą i poraz pierwszy od 15 roku życia z serca i ust wyrywa mu się modlitwa: „Boże! skoro istniejesz, przybądź mi z pomocą. Jestem człowiekiem dobrej woli, naucz mnie i oświeć!" Od tej chwili już nigdy więcej nie przyszła nań wątpliwość odnośnie do tego, czy „Bóg istnieje?"

Uczuwa potrzebę i pragnienie poznania dobrze Katolickiej wiary, ale równocześnie panicznie lęka się rozmowy z jakimkolwiek księdzem.

W duszy zaczynają piętrzyć się trudności. Szatan podnosi głowę. W tej właśnie chwili wewnętrznych zmagań, ścieżką leśną przechodzi jakiś nieznany mu ksiądz. — Do uszu Rettego doleciały słowa jego głośnej modlitwy: „A Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami"! Słowa te wymówione teraz właśnie, zdały mu się jakby objawieniem, objawieniem tego, że Bóg stał się człowiekiem, aby nas ratować, aby nas zbawić. Biegnie za księdzem — ale nie zdobywa się na rozmowę z nim — prosi go tylko o modlitwę.

Walka w duszy trwa dalej. Niestety, powraca do dawnych sideł i nałogów, do dawnych zmysłowych grzechów. Nie dziwmy się temu, wszak nie ma jeszcze pomocy Łaski jaką daje Sakrament Pokuty i Sakrament Ołtarza.

Po tych nowych upadkach swoich, uczuwa jednak zawsze wielki niesmak.

Potroszę zaczyna jednak pracować nad sobą. Modli się i zaczyna nawet zwalczać niektóre pokusy. Łaska Boża tajemnie pracuje w tej duszy. Słowa Anielskiego pozdrowienia, zasłyszane w lesie na myśl mu wracają ciągle. Modli się. — Modli się o powodzenie spraw materjalnych i wysłuchanym zostaje. Jest jakby na pół nawrócony. Niema jednak odwagi wejść w mury Kościoła—Zdaje mu się, że wejście tam, takiego jak on grzesznika i bluźniercy, byłoby świętokradztwem. Opanowuje go melancholja i rozpacz. Wreszcie, wreszcie przychodzi chęć samobójstwa. Pisze wiersze o śmierci — wraca do Paryża, gdzie po-

nad wszelki wyraz czuje się nieszczęśliwym. Ach, biedna dusza!—Jakież w niej odbywają się zapasy!—Głos *wewnątrz* wciąż woła nań: „idź” do Kościoła, lub zginiesz”! Zabawą u kolegów probuje głos ten zagłuszyć. Pragnienie samobójstwa wciąż powraca. Nie mając swego ulubionego lasu błądzi po ogrodach Paryża. Pomimo tego okropnego stanu, pomimo tych uczuć rozpacznych, wciąż się modli — ale księży i konfesjonału ciągle się lęka. Wpływ kobiety „o oczach czarnych” jeszcze, niestety, trwa. Zmysły buntują się jeszcze. Zmysłowo jeszcze upada.

Politycznie związanym jest z Clemenceau, jednakowoż doktryny jego, oraz sposób, z jakim odnosi się do Kościoła, zaczynają go razić. — Uczuwa ciągłą konieczność myślenia o Bogu. Wciąż jednak lęka się wejść nawet do którego z Kościołów, aby go przez to nie sprofanować. Wreszcie decyduje się wejść. Tam jakaś *wewnętrzna siła każe* mu uklęknąć, ale *inna* siła nie pozwala na to, chce już uciec, aby pod tym wewnętrznym, przemożnym, *szatańskim* przymusem nie zacząć bluźnić. Ale znów *inna* siła go zatrzymuje. *Musi* pozostać. Schyla głowę przed ołtarzem i w duchu woła: „Boże! zlituj się nademną! choć jestem grzesznikiem, przyjdź mi z pomocą! i przyszło nań ukojenie.

Zwraca się do nawróconego przyjaciela swego, do Franciszka Copeé i częściowo zwierza mu się ze swej męki.

Te ciągłe tak wielkie walki wewnętrzne wpłynęły bardzo ujemnie na zdrowie biednego Retté. Dostaje silnych krwotoków i częstych, a silnych ataków sercowych. Bardzo zaniepokojony lekarz każe mu zamieszkać w willowej, podmiejskiej części Paryża, gdzie jest więcej zieleni i ogrodów. Retté jest przekonanym, że te fizyczne cierpienia dla dobra jego duszy są mu potrzebne. — A jednak; o, dziwna niekonsekwencjo jego biednych myśli! Znów pisze artykuł, tym razem przeciw cudom w Lourdes, w którym ubliża czci Najświętszej Panny!—Pisze dla tego, ponieważ artykuł ten już zdawna naprzód był mu zapłaconym!—Żałuje tego—modli się—powraca wreszcie do swego ukochanego lasu, wiedziony przeczuciem, że tu poza Paryżem odbędzie się jakiś zasadniczy przewrót w jego życiu. Wśród lasu, na górze, mało dostępnej, zarośniętej drzewami i plątaniną krzewów, wznosi się Oratorjum, mała kapliczka ze statuą Matki Boskiej Łaskawej, wzniesiona niegdyś przez jedną z okolicznych rodzin francuskich w podzięce za otrzymaną łaskę. (d. c. n.)

BIEDNYM.

Szedłem cicho pośród pól —
Hej! Którz zna tajemnice tej ciszy szemrzącej błękitem stykającego się nieba z szaro zielono porzniętą ziemią?
Szedłem —
tak, a zdało się, że duszy tak blisko do pustynnych prawie beznadziejnie pól —
czarowały mnie swą tajemniczą, a mało nieznaną dalą—
A bracia — murzyni?
O! tak chciałbym im nieść Chrystusa:
bo wiatr tam jeszcze pogańsko piaskiem sypie w oczy — a drzewa nie szumią tych naszych polskich, serdecznych kolend —
bo słońce nielitościwie żarem pali człowieka —
bo człowiek tam nie zna jeszcze Stwórcy swojego
Tak chciałbym im nieść Chrystusa, miłość —
serca uderzeniem, słowy, najmniejszem poruszeniem duszy—nieść miłość...:
— bo oni tacy biedni ..
a przecie i dla nich Bóg się narodził w Betlejemskiej tajemnicy swojej.. dla nich skonał...
O! nieść im krzyża zadatek! —
...a wokół była cisza...
bo któż zna tajemnice spokojnie wyciągniętych w dal pól—niosących moje myśli do biednych czarnych. .
— bo oni tacy biedni...
I żadne może serce nie uderzyło tej chwili dla nich, nikt o nich nie pomyślał tu — u swoich... —
A może —
— jakiś kwiatek pod moją stopą poświęcił swe życie Panu za nich...
— jakaś trawa rany ..
Boże! i to dość dla Ciebie, byle tylko ze szczerego serca —
...a oni tacy biedni...

Terezjusz Sot.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Działalność Społeczna „Odrodzenia“ na terenie poznańskim.

Młodzież nie spełnia obowiązków obywatela-akademika, jeżeli nie bierze czynnego udziału w pracy społecznej. Dziś nie można, a nawet nie wolno powiedzieć sobie, że obowiązkiem akademika są jedynie studja naukowe i dlatego wszelkie dygresje społeczne są uciążliwe, a nawet szkodliwe, że wszelka ofiara składana na ołtarzu dobra powszechnego — jakkolwiek jest pięknym i pożytecznym gestem, ale odciągającym młodzież od jej bezpośrednich żądań i obowiązków. Takie stanowisko jest fałszywe z punktu widzenia interesu własnego i niebezpieczne z punktu widzenia dobra społecznego. Przedewszystkiem praca społeczna nie jest ofiarą i nie może być traktowaną przez młodzież, jako ofiara. Bo nie jest ofiarą to, co rozszerza i pogłębia wiedzę naszą, co rozwija nasz zmysł rzeczywistości, co wprowadza nas w sferę realnego życia, w którego ogniu tylko urabia się i wychowuje typ nie zimnego intelektualisty, ale współczesny i realny typ człowieka i obywatela. A zdobywanie wiedzy nie wyczerpuje się tylko słuchaniem wykładów i studjowaniem podręczników, ale także zdolnością jednostki wzbogacenia swych wiadomości obserwacjami zaczerpniętemi bezpośrednio z życia. A pod tym względem zdolności nasze są jak najmniej rozwijane. Dla wielu z nas życie jest księgą niezrozumiałą, gdyż za mały teren tego życia pod obserwacje bierzemy i za mało procesami odbywającymi się w tym życiu — się interesujemy. Nie byłoby w Polsce tyle niezrozumienia dla zjawisk społecznych, tyle nieufności wzajemnej między warstwami, tyle egoizmu klasowego, które niejednokrotnie godzą w istotę bytu państwowości naszej, gdyby inteligencja polska naprawdę była zdolna i przygotowana do kierownictwa i prowadzenia tych szerokich mas, które na arenę życia politycznego wchodzą i historję dzisiejszej Polski tworzą. Tymczasem widać ogromny brak inteligencji wśród ludu i sfer robotniczych. A dzieje się to dlatego, że

dawne pokolenia młodzieży wskutek warunków politycznych miały ograniczony teren pracy społecznej i wskutek tego nie mogły wychować i wykształcić licznego zastępu działaczy społecznych. To też „Odrodzenie“ Stow. Młodz. Akad. już od samego początku swego istnienia zwróciło szczególną uwagę na pracę społeczną — oto co czytamy w Deklaracji ideowej § 5 p. d. „Bez przygotowania inteligencji rozwiązać kwestji społecznej nie podobna. Chcemy wychować kadry młodej inteligencji polskiej o żywem i głębokiem poczuciu społecznem, uprawiającej akcję społeczną z zapałem, z wiarą w zwycięstwo chrześcijańskiej koncepcji życia, zbrojnej w potęgę czynu moralnego i gruntowną wiedzę społeczno-ekonomiczną". We wszystkich środowiskach akademickich w Polsce istnieje „Odrodzenie" i we wszystkich też prowadzi pracę społeczną; a teraz przyjrzyjmy się, jak ta praca wygląda w środowisku poznańskim.

Od samego początku roku akad. praca społeczna ruszyła raźno naprzód, zabrano się do pracy wśród młodzieży polskiej, i przez udział w zebraniach zarządów S. M. P. bądź też przez wizytacje kół młodzieży, starano się wszędzie podkreślać ideę Chrystusową, i naprowadzać młodzież na tę drogę, która wiedzie do celu ostatecznego człowieka — do Boga. Referatów wygłoszono w różnych kołach S.M.P. jak na prowincji tak i w samym Poznaniu około 50 i to na najróżnorodniejsze tematy np. „Królestwo Chrystusowe", Polska obecna i związane z nią zadania młodzieży", „Zadania S.M.P", „Cele S.MP.", „Zagadnienie polskie w wojnie wszechświatowej — Zmartwychwstanie Polski", „Istota i skutki chorób zakaźnych", „Ku uczczeniu rocznicy zmartwychwstania Polski", „Św. Stanisław Kostka", „O Śląsku", „Naród polski w wojnie światowej", „Komunizm, a religja", „O gazach trujących" i wiele innych tematów mówiących o wychowaniu, grzeczności, uprzejmości i t. p. Po za wizytacjami i referatami kilka koleżanek i kolegów zajmowało się pisaniem artykułów do pism młodzieży jak np. „Jak wychowujemy się w organizacji". „Co nam daje radjo", „Św. Stanisław wzorem młodzieży polskiej“, „Na 10-lecie Polski“, „Polska w rzędzie innych narodów i dużo innych, oraz prowadzono różne pogadanki, lekcje śpiewu, udzielano rad i pomocy przy urządzaniu wieczornic; i przy wystawianiu sztuk teatralnych i t. p. Oprócz powyższych, utrzymywano bliski kontakt z władzami S. M. P.,

brano czynny udział w zlocie młodzieży w Poznaniu i starano się zawsze i wszędzie służyć radą i pomocą, tam gdzie tego zaszła potrzeba. Należy zaznaczyć, iż z młodzieżą łączą nas bardzo przyjazne stosunki i wszyscy odnoszą się do nas z całem zaufaniem.

Tak więc wyglądałaby nasza praca w b. ogólnych zarysach, być może, iż w tym roku nie jest ona tak prowadzona, jak w roku zeszłym, ale to spowodowała zmiana kierownika. Jednak w najbliższej przyszłości mamy nadzieję, iż wejdzie ona na normalne tory. *M. Bronowski.*

O właściwe metody pracy wśród młodzieży żeńskiej.

Od jednej z działaczek Ch. Z. Mł. Pracującej Odrodzenie otrzymaliśmy garść uwag i spostrzeżeń na temat powyższy, które z przyjemnością drukujemy, prosząc Szan. Czytelników, aby zainteresowali się tym tematem i nadesłali ewentualnie swoje uwagi (Red).

Przebrzmiały już dziś echa tak jeszcze do niedawna aktualnych i żywo nas obchodzących walk o równouprawnienie kobiety, walk w których ścierały się zaciekłe hasła nowe i piękne z zakorzenionemi głęboko przesądami. Dziś walczyć nie potrzebujemy, dziś dla kobiety każda nieomal dziedzina życia stała się dostępną. Istniejący do niedawna typ kobiety nie widzący nic i nikogo poza czterema ściany swego domu przedzierzgnął się dziś w kobietę obywatelkę, którą interesuje wszystko, która wie co to jest naród i społeczeństwo i zdaje sobie sprawę z ogromnej roli, jaką w społeczeństwie odgrywa. To też studja społeczne, które pozwalają na zrozumienie potrzeb naszego kraju, oświetlają problematy polityczne i społeczne i przyczyniają się do uświadomienia obowiązków względem społeczeństwa i narodu—winny odgrywać pierwszorzędną rolę w życiu współczesnej kobiety.

A jednak na aktualności i wadze nic nie straciły zagadnienia dotyczące zadań kobiety, jako żony i matki, boć przeznaczenie naturalne kobiety zmianie nie uległo —cel – założenie własnego ogniska rodzinnego — pozostał ten sam. I choć

wiemy, czem być winna kobieta w rodzinie i powtarzanie stało się już utartym szablonem i komunałem, to jednak w dobie dzisiejszej, dobie ataku wrogów wiary i Kościoła na wszystko co święte i nietykalne, wszystkie poczynania organizacyj wychowawczych, mających dobro przyszłych pokoleń na względzie winny pójść w kierunku należytego przygotowania swej członkini do roli małżonki i wychowawczyni.

Walczyć musimy z dawną metodą wychowania, którego celem było uczynienie z panny możliwie najładniejszego upiększenia społeczeństwa aż do chwili, kiedy znajdował się kandydat do jej ręki. Jeśli zaś chodzi o dziewczęta nie posiadające majątku — to te wogólę, dać sobie rady w życiu nie były w stanie. A dziś gdy horyzonty umysłowe uczyniliśmy bardziej rozległemi i mamy względnie jasne zrozumienie swych obowiązków, czy dużo jest dzisiaj kobiet zakładających własny dom z pamięcią o tem, że mają być w nim towarzyszkami pracy swych mężów, matkami i wychowawczyniami przyszłych pokoleń Narodu.

Czy nie mnożą się utyskiwania na „dzisiejszą kobietę" bezduszną, nieświadomą swoich zadań, ni celu i przeznaczeń życia, a nawet niemoralną? Lecz bądźmy sprawiedliwi! Chciejmy zrozumieć, że każda epoka posiada swoje cechy, a człowiek przeciętny przeżywa jej nastroje i skłonności, idzie z prądem fali i z prądem nowego porywającego życia. A wszak dzisiaj kryzys bolesny i głęboki przeżywa ogół naszej młodzieży, jad zgnilizny moralnej, sączący się od czasów wielkiej wojny w dusze młodego pokolenia, grozi zatratą religijności i obyczajów katolickich; a rodzice i wychowawcy stoją często bezradni wobec lawiny zepsucia, które wali się od wschodu i u nas w Polsce przy pomocy różnych komunistycznych i radykalnych haseł zatruwa serca i umysły młodzieży. Djagnoza przerażająca, bo po tylu latach tej śmiertelnej poprostu choroby dadzą się zauważyć zaledwie gdzieniegdzie przebłyski jaśniejsze.

A więc do pomocy rodzicom i wychowawcom staje senjorat Stow. Mł. Ak. Odrodzenie. Odpowiada czynem pozytywnym, gromadzi pod sztandarem katolicyzmu i etyki Chrystusowej młodzież pracującą i tworzy Chrz. Zw. Mł. prac. Odrodzenie, (koła męskie i żeńskie) — organizację akademicko-ro-

botniczą, chcąc przez taki braterski związek przekreślić niechęci i antagonizmy klasowe. Trudne i odpowiedzialne to zadanie bo chodzi tu zarówno o podstawy wychowania obyczajowego i etycznego jak i wychowanie w duchu patrjotycznym i narodowym.

A jeżeli możność dania wartościowego wykształcenia fachowego przechodzi zakres naszej usilności i kompetencji, to jednak jesteśmy w stanie dać możność jaknajlepszego zużytkowania upodobań i uzdolnień każdej członkini przez pracę w tej lub innej sekcji, przez tą lub inną formę działalności w organizacji.

Dzisiaj wobec trudnych warunków życiowych musimy się pogodzić z faktem, że kobieta z klasy robotniczej w wiekszości wypadków pracować zarobkowo musi. Prawda, praca zarobkowa odrywa kobietę od ogniska domowego. Lecz musimy pamiętać, że niedbałych żon i matek więcej znajdziemy wśród tych kobiet, które właśnie poza obowiązkami rodzinnemi i towarzyskiemi — innych nie uznają.

Wynika stąd, że biadanie nad pracą zarobkową kobiet nic nie pomoże. Trzeba natomiast wytworzyć typ organizacji społecznej, która dałaby młodej robotnicy uświadomienie pod względem religijnym, moralnym i społecznym, miłą atmosferę towarzyską i godziwą rozrywkę i przez swoje oddziaływanie wychowawcze uodporniła ją na niebezpieczeństwa życia współczesnego, czyhające na młodą dziewczynę na każdym kroku.

Typ takiej organizacji winien się wytworzyć w kołach żeńskich Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

W. M.

Z oślej łąki.

Ostry dzwonek w przedpokoju!

Podnoszę się z za stolika zawalonego książkami, przy którym spędzam długie godziny, w obecnym okresie przedegzaminacyjnym. Idę otworzyć, bo nikogo w domu niema.

„Servus Janusz"! — wykrzykuje niespodziewany gość — poczem całuje mnie symetrycznie w oba policzki. W wieku dziecinnym przyjaźniliśmy się trochę, potem z powodu ukształtowania się różnych poglądów na życie — linje naszych dróg duchowych rozeszły się pod rozwartym kątem.

„Mam do ciebie wielką prośbę”—mówi podnieconym głosem — „chciałem cię prosić”...

„Tymczasem zdejm palto, bo się zaziębisz, — przerywam mu perorę—„usiądź, a teraz służę ci”!

„Chciałem Cię prosić abyś przyjął zastępstwo honorowe w imieniu X, który został wyzwany przez Y i prosił mnie, będąc sam b. zdenerwowanym, abym cię o to prosił”!

Ciekawość mnie ponosi, więc nie odpowiadam mu odrazu słowami, o których wiem, że padną dziś z moich ust, w ostatecznej odpowiedzi na propozycję. „A o cóż poszło” — pytam.

Byli w barze Z — po pijanemu X uderzył Y w twarz. Y wyzwał.

* * *

Spotykałem X i Y często i prawie zawsze razem. Można ich było nazwać „braćmi sjamskimi”. Jakiś czas kolegowali ze sobą w szkołach. Od tej pory datowała się ich gorąca przyprzyjaźń. Jeśli X wybierał się na bal, a nie miał fraka, to pożyczał od Y. Przyjaźń ta trwa już chyba lat dziesiątek!

* * *

Przerwał moje rozmyślania: „no i cóż, sądzę, że nie odmówisz”. — „Ależ człowieku, przecież to serdeczni przyjaciele, jakżeż oni mogą ze sobą walczyć”? — No nie przeceniaj tego, toż to formalność, przyjdą na plac, parę razy pukną w niebo, pogodzą się, a potem będziemy „oblewać” rzecz u Bachusa”.— „A więc pocóż ta komedja, czy nie byłoby daleko prościej aby X przeprosił Y i aby prosto poszli do „Bachusa”. — „Oblewać zgodę”. — „Kiedy ty, to niemasz żadnego poczucia honoru” — przerwał mi zirytowanym głosem — „stało się publicznie, więc dla zachowania dobrej opinji—pojedynek musi się odbyć —a już naszą rzeczą pokierować jego rezultatem”.

„A więc stawiam rzecz jasno” — odpowiadam mu spokojnie — „będąc członkiem czterech organizacji katolickich, z których każda zwalcza pojedynek—przyjąć zastępstwa nie mogę”.

* * *

Pojedynek jest hańbą dwudziestego wieku! Jest takim samym barbarzyńskim przeżytkiem, jak kurne chaty na Polesiu,

których się jednak ich zacofani mieszkańcy, trzymają „jak pijany płotu". Niestety, najbardziej, pod tym względem (pojedynku) zacofane jest wojsko!

Oto dwóch poważnych, wiekowych panów, obarczonych rodzinami, przymówiło sobie, przypuśćmy, pod wpływem alkoholu. Przypuśćmy dalej, jeden jest doktorem filozofji a drugi inżynierem dróg czy mostów. Następuje pojedynek. Dwóch poważnych ludzi, posiadających wyższe wykształcenie, staje na jakiejś polance leśnej i zaczyna się istna, hiszpańska walka kogutów. Z koguciem zacietrzewieniem zapaśnicy skaczą i wymachują floretami, dopóki jeden z nich nie osieroci swej rodziny. A zastępcy i lekarze grają wtedy rolę postronnych gapiów, flegmatycznie przyglądających się rytualnemu morderstwu „honorowemu".

To jest wypadek prawdziwego pojedynku „do ostatniej krwi". A drugi wypadek? Ten ostatni opisałem powyżej.

W takim pseudo-pojedynku, zastępcy i zapaśnicy grali rolę aktorów pociesznej parodji.

Niewiadomo co gorsze!

Mój ś. p. Ojciec, który był zapalonym myśliwym, wyzwany kiedyś na pojedynek, przez „duelanta—amatora" (i tacy są, znałem jegomościa który raz na rok, specjalnie wyjeżdżał do Warszawy, aby kogokolwiek wyzwać na pojedynek) — kazał mu zakomunikować swój warunek: „aby w chwili strzału podskoczył" bo mój Ojciec, jako prawidłowy myśliwy, miał zwyczaj strzelać „tylko w lot". Jest to niezła metoda. Kpiąc ze złego, można najłatwiej unicestwić. Obóz katolicki, w walce z tym przeżytkiem, powinien i satyry używać.

Uważam, że akcję zwalczania pojedynku należy przyśpieszyć drogą ustawy. To też z radością, zdrowszy odłam społeczeństwa powitał projekt P. P. S., która ma zgłosić wniosek o ustawowe najsroższe, zwalczanie pojedynków. Ugrupowania chrześcijańskie, które już nieraz dały dowód swego przywiązania do Kościoła, będą miały jeszcze raz sposobność do zadokumentowania swego stosunku do katolicyzmu, kiedy przyjdzie chwila głosowania nad tą ustawą.

Janusz Sobolewski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

O. Konstanty Marja Łukiewicz dominikanin — Rozmyślania o Matce Boskiej w świetle nauki św. Tomasza z Akwinu. Warszawa 1928. Księgarnia Kroniki rodzinnej str. 301.

„Duch ludzki, jak może nigdy, pragnie otrząsnąć się z materji, szuka zatraconej drogi tam, skąd wyszedł i dokąd dąży..." pisze autor „Rozmyślań", rozpoczynając swe dzieło.

I książka jego powstaje, jako prawdziwy pokarm duchowy, jako potężny drogowskaz dla zbłąkanych i nieszczęśliwych. Kult Marji jest kultem, który utrzymuje się w duszach ludzkich pomimo największych burz i zmagań, pomimo największych gromów. Przez Marję idziemy do Boga najłatwiej i najprędzej, za Jej łaską szczęściem kończy się nieszczęśliwe życie, a wiary radością — chmurny czas niewiary.

„Rozmyślania" przybywają do nas w miesiąc Marji, w miesiąc wiosny przyrody, co u stóp Niepokalanej staje się wiosną naszej duszy. Umiejmy je tedy wykorzystać jaknajlepiej. Niech nas zagrzewają do pracy, niech będą bodźcem do spełniania służby Bożej, tego najistotniejszego zadania człowieka.

„Rozmyślania" oparte są na nauce św. Tomasza z Akwinu, zaczerpniętej z szeregu jego dzieł, których wykaz znajdujemy na początku książki. Wśród pism Doktora Anielskiego nie ma jednak specjalnie o Matce Boskiej traktujących. Jego nauka o Najświętszej Pannie przewija się pośród wszystkich traktatów, stanowiąc wszędzie nieodłączną część nauki o Bogu, samym tym faktem wskazując na rzeczywistą nierozłączność kultu Matki Bożej od kultu Jej Syna.

Poszczególne rozmyślania rozwijają się dokoła trzech najistotniejszych przymiotów Najświętszej Panny.

Marja — chwalebna, piękna, łaskawa. Oto jak święty Tomasz tłumaczy nam te trzy wyrazy w odniesieniu do Matki Boskiej.

„Chwalebna, bo jest przeznaczoną i przepowiedzianą, jako Matka Boga, a naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa; wszystkie niezwykłe przywileje Jej z tej godności pochodzą i na Niej spoczywają". Dlatego jest:

„Piękną, w blaskach niepokalaności i bezgrzeszności, pełną łask i cnót. śnieżnego dziewictwa, purpurowej miłości i pokory głębokiej — liśćmi wdzięcznych słów otoczona" a dla nas wygnańców Ewy prawdziwie:

„Łaskawa, bo wyrywająca ze szponów złego ducha, wiodąca przez pustynię tego świata ku rzekom Łaski Bożej, w których umyci i wzmocnieni i miłosierdziem Pańskiem wzmożeni, dochodzimy do bram wiekuistej Ojczyzny" *)

Jeśli się przyjrzymy któremukolwiek z pośród dwudziestu rozmyślań, spostrzegamy w nich również wybornie wykreślony plan. Oto najprzód

*) Sermo de Annuntiatione.

znajdujemy w nich istotę rozmyślania, rozum nasz zostaje oświecony nauką o Marji.

Dalej przeprowadza nas autor w dzisiejsze nasze życie i, patrząc na nie, wskazuje na łaski Najświętszej Panny, na przykład Jej życia. To przejście od abstrakcyjnego rozumowania do naszych codziennych spraw stanowi bodaj najistotniejszą wartość wychowawczą „Rozmyślań", bo sprawia, że Najświętsza, Najgodniejsza chwały—Matka Boża, staje się nam bliską, ukochaną—naszą Matką.

Oby „Rozmyślania o Matce Boskiej" jaknajszerzej rozeszły się w społeczeństwie naszem, oby spełniły to zadanie, które spełnić mogą.

Marjan Jan.

Dr. Paweł — Wilhelm Keppler biskup rotenburski. **Więcej radości** przekład autoryzowany ks. Adama Kuleszo. Poznań 1928 Ks. św. Wojciecha str. 250.

Odczucia potrzeby radości w człowieku nie potrzeba dowodzić. Z niepokojem szukając dokoła siebie, a potem coraz wyżej i dalej szczęścia, tem samem ukazuje swe pragnienie radości; boć szczęście i radość to nierozłączne towarzyszki. A dalej radość płodna jest w czyn. Z nią czyn staje się pełniejszym i wartościowszym, z nią niestety staje się jedynie możliwym. Tak! Radość w życiu jest nietylko potrzebą człowieka, ale i prawdziwą koniecznością dla całej jego istoty.

To też dzieło biskupa Kepplera, tak gruntownie omawiające radość w każdym objawie życia ludzkiego, przedstawia dla wszystkich ogromną wartość i jako takie zasługuje na najszersze rozpowszechnienie.

W licznych rozdziałach książki znajdujemy starannie omówione czynniki, które przyczyniły się i przyczyniają ciągle do zmierzchu pogody w społecznem życiu: — to nieodpowiedni kierunek w rozwoju literatury, sztuki, rozwoju całej kultury ducha, wreszcie zanik prawdziwej kultury ducha, na koszt kultury materjalnej, a przedewszystkiem zapomnienie o Bogu.

Dalej autor pokazuje nam wytkniętą prostą drogę do radości, wszystkie te czynniki, które składają się na osiągnięcie pogody duszy, wśród których góruje, jak zawsze i wszędzie — miłość chrześcijańska. Ci, co kochali Boga i bliźnich całem sercem i duszą — prawem przyczynowości posiedli prawdziwą, płodną w szczęście i czyn radość.

„Wiecej radości" aczkolwiek przedstawia jako dzieło zupełnie zamkniętą całość, ma jednak stanowić szereg rozmyślań również niejako ujętych w pewną całość swoistą, choć ściśle połączoną z resztą dzieła. Krotkie, za małemi wyjątkami, rozdziały, które nie zajmą więcej nad dziesięć minut czytania, nadają się doskonale dla tych, którzy nie mieliby może czasu na przeczytanie książki na jeden raz, którzy chcą skrzepić się codziennie choć kilku słowami zdrowej lektury.

I może lepiej nawet tak czytać tę prześliczną książkę. Niech łączy kroplami radość w każdy nasz dzień pracy, niech gruntuje pogodę duszy w codzienności, spełniając przez to najtrudniejsze, ale i najpiękniejsze zadanie.

Na uwagę zasługuje staranne i dokładne tłumaczenie dzieła, dokonane przez ks. Adama Kuleszę. **Marjan Jan.**

X Ferdynand Machay — Honorni Orawiacy. Warszawa 1928, Księgarnia „Przeglądu Katolickiego" str. 126.

Przyjmujemy ten szkic powieściowy z wielką radością, bo stanowi on jakgdyby pierwszy promyk, zwiastujący nowy prąd w literaturze naszej. — Jest to próba przedstawienia życia ludu orawskiego, i próba trzeba przyznać udana. Zwykły to temat: jednakże podkreślenie miary tego ludu i rozwinięcie akcji z tym punktem wyjścia, czyni z książki jedną z takich, które winny znaleźć jaknajwięcej czytelników, i to tak wśród ludu, jak i inteligencji. Powieść wprowadza nareszcie do literatury naszej Boga i to nie tylko jako „siłę wyższą", niedostępną człowiekowi, ale jako Świadka i Kierownika codziennych przeżyć i czynów.

Dobry wpływ wywrzeć zaś może tembardziej, że przedstawia dużą wartość artystyczną. **M. J.**

Książeczka o małym Heniu. Oto niedawno obracał się wśród nas mały Henio, uczeń jednego z gimnazjów warszawskich. Rok jeszcze temu mogliśmy patrzeć na małego chłopczyka, spełniającego wszystkie swoje codzienne obowiązki, te proste obowiązki dnia, które najłatwiej w ludziach potrafią zatrzeć widok rzeczy wielkich, widok tych celów, które w każdym człowieku istnieją zawsze, wszczepione głęboko. A Henio, mały Henio, te właśnie swe obowiązki w życie dziecinne, życie, nieświadome jeszcze, umiał wprowadzać, wśród historji i geografji, wśród rozrywki i ulubionego sportu, umiał ciągle widzieć swoje cele, dążyć do nich pracą każdej chwileczki.

Dziś duszyczka Henia uleciała do Bożych stóp, ciałko drobne zamknęło przed oczyma naszemi wieko białej trumienki. Dziś Henio w grobie; ale działa dalej, działa szerzej i silniej może niż za życia swego.

Najprzód działa przykładem.—Każe naśladować siebie, daje wsparcie ukazując żywe piękno swej duszyczki; raduje każdego Polaka, każdego człowieka już tem samem, że żył, że istniał, tak pięknym będąc.

Nie! nie umarł mały Henio! Żyje nie tylko w Królestwie Boga, żyje teraz i żyć będzie zawsze w sercach naszych.

Książeczka **„Henio. Dzieje duszy polskiego chłopca"**. Warszawa, Księg. Kroniki Rodzinnej, str. 79, cena zł. 1.50. Jest cudnym obrazem przeczystej duszy dziecka, barwnie wymalowanym przez jego najbliższego, po ukochanej matce, przyjaciela, ks. prefekta gimnazjalnego, „jego księdza". Ze wzruszeniem czyta się kartki małej książeczki, z radością patrzy się na to piękno, które każdą chwilkę życia chłopca polskiego opromieniało. — Nowy „kwiateczek Boży" polską ziemię ozdobił.

Niech swego małego braciszka poznają wszystkie dzieci polskie, niech to dziecko poznają wszystkie matki i wszyscy ojcowie, bo godzien jest Henio naśladowania, godzien najwdzięczniejszej pamięci.

Marjan Jan.

Sprawa męczeństwa katolickiego Meksyku jest jedną z tych spraw, która tak dla istoty swej, jak i dla form, jakie przybrała wymaga już dzi-

siaj jaknajobszerniejszej literatury, któraby społeczeństwom państw chrześcijańskich dała możność zajęcia odpowiedniej postawy, wobec bezprzykładnych faktów.

To też potrafimy ocenić fakt ukazania się na półkach księgarskich książki **Andrzeja Bora** p. t. **Prześladowanie Kościoła katolickiego w Meksyku**. Warszawa 1928, Księg. Kroniki rodzinnej str. 118. Cena zł. 2. (Studja na dobie № 12). Zebranie wszystkich wiadomości o wybrykach Callesa i jego siepaczy, które pomimo ostrej cenzury władz meksykańskich dostały się do prasy, ciekawy i przejrzysty ich układ, wreszcie zwrócenie uwagi na pewną łączność pomiędzy stosunkami w Meksyku z przed jego bolszewickich czasów, a Polską obecną, czynią z książki Andrzeja Bora naprawdę wartościowe i aktualne studjum. **M. J.**

Popularnie napisana i wydana przez Księgarnię Kroniki Rodzinnej broszurka **Ks. E. Duplessy — Spowiedź, a wzgląd ludzki.** Warszawa 1928 str. 16, przekład z francuskiego Z. Rieffa (Pogadanki apologetyczne № 7) może się przyczynić do uświadomienia religijnego szerszych warstw, do wypełnienia tego braku, który dziś tak odczuwamy. **M. J.**

Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński — Roczniki katolickie na rok pański 1929 rok VII. Poznań 1929. Nakładem autora, str. XXII+564.

Układ rozdziałów „Roczników” nie różni się niemal zupełnie od „Roczników” poprzednich, w szczególności zaś od Tomu VI na rok 1928 (porównaj „Pro Christo” rok IV № 9), spostrzegamy jednak pewne różnice w treści poszczególnych rozdziałów. Wychodząc bowiem ze słusznego założenia, że treść dzieła winna być zajmującą dla jaknajszerszych kół inteligencji, autor starał się uwzględnić w większym, niż dawniej stopniu, rozwój literatury i sztuki.

Obok dążenia do jaknajszerszego traktowania tematu, zadecydowała o tem uwaga, że często trafić do naszej inteligencji można jedynie przez wmieszanie w sprawy poważniejsze literatury pięknej.

To też w tegorocznych „Rocznikach” uderza odrazu ich wysoko postawiona literackość, znowu o wiele silniej zaznaczona niż w tomach poprzednich.

I przyznać trzeba, że dzieło na tem bynajmniej nie traci, owszem zyskuje tak w istocie swej, jak i zyska, spodziewać się należy, w rozpowszechnieniu.

A przecież to, by „Roczniki Katolickie” jaknajwięcej znalazły czytelników, powinno każdemu myślącemu Polakowi leżeć na sercu. Spełniają one bowiem—naprawdę wielkie zadanie.—Synteza działań i wypadków w świecie katolickim, jest możliwa właśnie tylko przy takiem ich zestawieniu obok siebie, przy takiem wciągnięciu ich w ramy jednej książki; jeśli dodamy do tego, że niosą nam bezwzględną prawdę, wyjaśniają to wszystko, co przedostaje się do nas nieraz zupełnie nieodpowiedniemi drogami, a przez to zmienia do niepoznania nim stanie się podaną nam wiadomo-

ścią—jeśli sobie te dwie cechy naszej katolickiej kroniki uświadomimy, to z pewnością wyrobimy sobie właściwe zdanie o „Rocznikach".

Objętość dzieła w porównaniu z zeszłym rokiem zmniejszyła się znacznie (około 130 stron druku). Obok drobniejszych przeszkód wpłynął na to głównie brak współpracy w tworzeniu dzieła. Gdy bowiem w zeszłym roku obok nazwiska szanownego autora, dostrzegaliśmy nazwiska ks. Korzonkiewicza, Pilcha, Posadzy'ego jako współpracowników—teraz do całości pisanej przez ks. Cieszyńskiego, przyłączył się jeden tylko stosunkowo krótki, rozdział ks. Jana Stepy.

W tem też należy doszukiwać się powodu tego faktu, że nie wszystkie sprawy godne zanotowania znalazły się wśród kart „Roczników". W pierwszym rzędzie odczuwamy brak omówienia w osobnym rozdziale ruchu katolickiego wśród młodzieży, tego poważnego przyczynku do wnioskowania o przyszłości na podstawie historji.

Obok jednak tych nieznacznych niedomówień poważniejszych zarzutów pod adresem „Roczników" tegorocznych mimo tak trudnych warunków ich powstania czynić nie można.

Oby więc przyszłe lata były „Rocznikom" przychylniejsze, oby mogły coraz bardziej wyczerpująco oświecać nas o życiu katolickiem narodów.

Te zaś wartościowe karty pracy dla dobra narodu i kościoła, które już są nam podane niech znajdą sobie nie tylko licznych czytelników, ale i gorących propagatorów, bo naprawdę zasługują na to.

Marjan Jan.

Warlemont. L'Aide Médicale aux Missions. Bruxeles. Arenne de Cortenberg 66. Sécretariat Général.

Mamy przed sobą roczne sprawozdanie z uroczystego posiedzenia i pracy Związku Lekarzy belgijskich dla misyj katolickich. Rzecz urządzana z rozmachem — przyciąga się do niej od razu wszystkie władze i wybitności, duchowne i świeckie. Chodzi wpierw o propagandę idei — ochotnicy zjawią się później, są jusz zresztą! Belgja wysyła własnych i obcych lekarzy, lekarki, pielęgniarzy i pielęgniarki na tereny swych kolonji. (Kongo). Lekarzom daje już 90 tys. fr. rocznej pensji. Są pewne formalności przed wyjazdem, ale o szczegółach objaśni — broszura. Zdaje się, że ruch misyjny polski wśród inteligencji dojrzewa -- dowodem udział profesorów uniwersyteckich w Tygodniach Misjologicznych jako prelegenci. Czy istnieje w Polsce Zw. Katol. Lekarzy oraz Zw. Kat. Pielęgniarek? Wtenczas nie byłoby trudno o kandydatów dla misyj—zaczynając od terenów, jakie wskaże Propaganda Fide w Rzymie, jeśli nasi polscy misjonarze jeszcze nie mają potrzeby osobnego lekarza. (Adr. S. Congregatio Propaganda Fide. Roma 48. Piazza di Spagna).

Pozatem trzebaby rzecz przedstawiać także Naszemu N. Episkopatowi.

K. B.

Kühn-Engel. Auf Gottes Saahfeld Ruanda—Mission. Trier 1928, Paulinus—Druckerei. 143 str.

Misjonarki MB. Afrykańskiej (t. zw. Siostry Białe, fundacji Kard. Lavigerie) opisują swe życie misjonarskie. Firma wydaje cały cykl podobnych dziełek pod nazwą: Unter der Äquatorsonne. Dziełka te tyczą się wyłącznie Zgrom. Ojców i Sióstr Białych, misjonujących Afrykę Środkową. Powyższy tom jest 4-ty z rzędu. Uważamy książki za cenne przyczynki do studjum krajów misyjnych. Jawi się myśl, żeby w takiż sposób zabrać się do tworzenia literatury misyjn. w polskiem, zaczynając od polskich terenów stacyj mis., wzgl. placówek, na których działają polscy misjonarze, albowiem za mało znamy i za mało mamy jeszcze styczności z temi sprawami, stającemi się nam jednakże coraz bliższemi. Czytamy o tem, jak tworzą się nowe tereny misyjne: Zgłasza się kapłan lub zakonnica (a dziś może i siły świeckie) do Kongregacji Propaganda Fide w Rzymie z chęcią objęcia terenu. Jednostka ta ma za sobą szereg pomocników, lub właśnie go tworzy. Gdyby i z Polski wyszły takie — dzieła misyjne! Chodzi tylko — o duszę prawdziwie apostolską i pionjerską, o ten pierwszy, śmiały, ufny w Opatrzność Bożą krok! Tak robią inne kraje!.. Nie mówimy słów tych na wiatr— albowiem już się głosy odzywają...

Literatura mis., jak Kühn-Engel, pomoże nam zorjentować się w stosunkach misjonarstwa. K. B.

L'Islam et les Missions Catholiques. Konferencje w Instytucie Katolickim w Paryżu 1926—1927. — Paris. Librairie Blou et Gay. 3 rue Garancierè. — 329 str. 10 wykładów wartościowych i wstęp. Między prelegentami są 2 osoby świeckie, jedna zakonnica i księża. Z przemowy wstępnej, szefa marynarki, gorącego patrjoty i dobrego katolika, wyjmujemy następujących uwag kilka o Islamie:

Islam-Elam zn. poświęcony Panu Bogu. Muzułmanin, mesleimoun, to samo, jako przymiotnik (gramat.). Islam staje się ważnem zagadnieniem dla misyj katolickich, gdyż zaczyna się modernizować i uprawiać propagandę. Dar el Islam, czyli domena Islamu, nie zna granic, za podstawową własność uważa terytorjum czterech pierwsz. Kalifów, następców Mahometa. Ziemie te pragnie wyznawca Islamu pozyskać z powrotem, choćby rewoltą i wojną. Historja Islamu składa się z ustawiczn. walk, krwawych intryg, powstań politycznych. Między sobą ma liczne sekty, które jednak wobec chrześcijan i wobec wszystkich innych wyznań i wierzeń tworzą zwarty front. Liczą na 230 mil. muzułm., osiadłych wszędzie, z wyjątkiem Australji i obu Ameryk. Mahomet, w 7 w. po Chrystusie, utworzył Islam z Chrześcijanizmu i Judaizmu, z wiarą w jednego Boga. Koran zawiera rewelacje Ałłacha wobec Mahometa (zn. uwielbionego). Islam jest jedynem wyznaniem, które szerzy nienawiść do innych wierzeń: Niewierzący, odrzucający islam, jest w oczach Przedwiecznego gorszym niż zwierzę. Chrześcijanie, żydzi, poganie... dostaną się do piekła. W pięciokrotnej modlitwie codziennej żywi mahometanin swe uczucie przeciwne duchowi miłości bliźniego.

Islam nie ma stanu kapłańskiego ni ofiary. Świątynie mają swych urzędników i stróżów, lektorów, teologów, kaznodziei. W miejsce stanu duchownego istnieją potężne dla propagandy i wpływu islamu bractwa religijne. Zakonnicy — marabuci, — czyli asceci islamscy, są misjonarzami fanatyzmu islamu. Członkowie bractw islamu nazywają się w Afryce: Kuan, w Azji—derwisze, w Indjach—fakirzy. Islamici instynktownie nienawidzą chrześcijaństwa, jako religji wyższej od siebie moralnie. Oficer arab, w wojsku francuskiem, wydaje się pozyskanym dla Francji i kościoła, gdy wraca do siebie, jest tem straszniejszym apostołem swego rasowego czy krajowego wierzenia. Podług islamu istnieją na świecie tylko dwie klasy ludzi, wierzący i niewierzący. Wierzących trzeba popierać, niewierzącymi—pogardzać i prześladować ich. Chrześcijanin w oczach islamu nie ma wartości jako człowiek.

Kończy prelegent wyrażeniem przekonania, że wpływ i przystęp do islamitów ma tylko ktoś, co imponuje im cnotą i szczerością życia wzniosłego, świadczącego najlepiej o posiadanej prawdzie. Przystęp do tych serc zawziętych może mieć tylko życzliwość, przychylność, miłość niczem niezniechęcająca się i ofiarna (str. 1—24).

Rozumie się, że dzieła, jak wymieniona książka, nie potrzeba osobno polecać. Czas by był, by nasze katolickie dzienniki przerabiały tematy wielkich zagadnień misyj katol., do których należy także islam. Kiedy zacznie się ta prawdziwie katolicka robota prasy polskiej?

K. B.

Ks. Henryk Weryński. Pierwszy obowiązek narodowy. Wydawnictwo Książnicy - Michalineum. Miejsce—Piastowe, 1929. (In 8-o, str, 32). Cena 80 gr.

Kapitałem narodowym, który zadecyduje o naszej przyszłości jest przedewszystkiem nasza tężyzna duchowa. Bez wyrobienia charakterów nie można myśleć o jasnej przyszłości Ojczyzny.

Jak pojąć i wykonać ten pierwszy obowiązek narodowy, obowiązek kształcenia charakterów, wskazuje w swej książeczce ks. prof. Weryński stylem pięknym, opierając się na tem, co o wyrobieniu dusz w Polsce powiedzieli i napisali najlepsi i najtęższi Jej synowie. Stąd kartki te noszą na sobie znamię **małej ewangelji narodowej**, owianej duchem apostolskim i serdeczną troską o przyszłość.

Książeczka ta posłużyć może jako znakomity materjał do przemówień na rocznice i obchody narodowe, do kazań patrjotycznych i t. p. Również młodzież kształcąca się wiele skorzystać może z rad i wskazówek wytrawnego znawcy jej duszy i utalentowanego publicysty.

Tadeusz Bireoki.

Sprostowanie.

W numerze poprzednim wkradły się pewne błędy drukarskie, z których kilka obecnie prostujemy:

Na str. 274 w 22 wierszu od góry opuszczono słowo: „klasy". Powinno być: „jako odpowiedź klasy robotniczej".

Na str. 282 w 9 wierszu u dołu zamiast: „zupełną" powinno być: „zupełny".

Na str. 296 w 8 wierszu od góry zamiast: „w r. 1874" powinno być: „w r. 1774".

Na str. 318 w 17 wierszu od góry zamiast: „dużc" powinno być: „duże".
